



WSPOMNIENIE
O CECYLI, SMUTNEJ
KRÓLOWEJ

JANINA LESIAK





WSPOMNIENIE
O CECYLII, SMUTNEJ
KRÓLOWEJ

JANINA LESIAK



JANINA LESIAK

WSPOMNIENIE
O CECYLII, SMUTNEJ
KRÓLOWEJ



ROZDZIAŁ PIERWSZY
– DZIEŃ PIERWSZY

Marzec roku przestępnego 1644 jest zimny i wietrzny.

Królowa marznie, choć zakłada ciepłe, dziane pończochy z jedwabiu i koziej sierści wyrobiane przez gdańskich rzemieślników.

Są mięciutkie, ozdobione kwiatowym haftem i, gdyby nie spuchnięte kostki, można by je nawet pokazać spod lekko uniesionej krynoliny.

Żeby się nie zsuwały, wiąże się je pod kolanami wąską tasiemką tak ciasno, że dwórki, przebierając królową do snu, widzą na jej łydkach sine obręcze... Cecylia Renata syczy z bólu, narzeka na kłucie w boku i tkliwość nabrzmiąłych piersi, więc podczas wieczornej toalety panny z fraucymeru ostrożnie zdejmują z niej aksamitną, wierzchnią suknię na ciężkiej obręczy, batystową koszulę, gorset i sztywne pantalony klejące się do pośladków...

„Skąd się we mnie tyle tego bierze? – myśli królowa. – Zmieniam podkład, a on zaraz jest znowu mokry... Medyk mówi, że to dobrze, bo schodzą ze mnie wszystkie brudy, ale ja wiem swoje... za dużo tego, za dużo...”

Cecylia Renata nosi trzewiki z delikatnej, siekanej skórki, ale od kamiennej posadzki ciągnie taki zimowy chłód, że nogi szybko jej lodowacieją i tracą czucie. Trzewiki są piękne, mają szeroką, ażurową klamrę z czystego srebra i wygiętą w łuk cieniutką podeszwę, podpartą stożkowym obcasem.

Królowa lubi ładne buty. Dostaje je w przesyłkach z Wiednia, ale krakowscy, gdańscy i wileńscy rzemieślnicy też potrafią robić prawdziwe cuda z ałasu, brokatu, cielecej skórki i błyszczącego cordovanu, krojonego z końskich zadów.

Królowa się cieszy, że niedługo wróci do ulubionych, zgrabnych pantofelków z błękitnego adamaszku – są takie leciutkie, mają kokardki uplecione z drobnych perełek i nieduży, szerszy dołem obcas. Podobały się nawet wytwornej cesarzowej Marii, elegantce i znawczyni strojów *alamoda!*

Miło je będzie znowu poczuć na wąskich, długich stopach... Cecylia Renata ma nadzieję, że kiedy wreszcie urodzi dziecko, pozbędzie się tej wstrętnej opuchlizny, przez którą wszystkie trzewiki są za ciasne!

Po Bożym Narodzeniu przestała nosić chopineski na wysokich, drewnianych koturnach, wprowadzie ciepłe, ale niewygodne i wywrotne.

Bolały ją kolana, a kostki nóg puchły i siniąły, odkąd ciężar ciała przesunął się do przodu, pod wpływem szybko rosnącego brzucha. Bała się, że upadnie i przez lekkomyślną nieuwagę sprowadzi nieszczęście na siebie i dynastię...

Och!... Dobrze pamięta tamten styczeń przed dwoma laty i kłucie strasznej igły pod łopatką, w żołądku, w gardle! Przez ten ostry kolec nie mogła oddychać, łapała powietrze, a ono nie chciało dojść do płuc, dusiło, dławilo, topiło świat w siwej mgle...

Medycy milczeli, kiedy pytała czy dziecko wyzdrowieje. W końcu przestała pytać...

Serce jej zamiera, bo wraca wspomnienie dziewczynki, którą żegnała, zaledwie po miesiącu ziemskiego życia.

Odgarniała jasne, kędzierzawe włoski, dotykała wargami zimnych policzków, chuchała w bezwładne piąstki z sinymi paznokietkami i szeptała:

– Nie martw się... Nie płacz... Przecież przyjdę do ciebie i będziemy już razem, na wieki! Nigdy cię nie opuszczę!

Królowa potrząsa głową, jakby chciała z niej wygonić myśli o malutkiej Marii Izabeli. Jeszcze nie czas... później... Teraz zbiera siły!

Od paru godzin źle się czuje.

Spod wygiętego kręgosłupa do pachwin i lędźwi płynie mrowiąca stróżka bólu przepowiadająca, że zbliża się wielkie, kobiece cierpienie.

Dobrze je zna! Rodziła dwa razy, więc wie, jak stalowe kleszcze najpierw rozrywają uda i brzuch, zaciskając się na kości krzyżowej, a później szczypią, zgniatają i miażdżą biodra, pośladki, wreszcie – łono...

Nie ma przed tym ratunku.

Królowa myśli, że najstraszniejsze tortury wbijania skazańców na pal i rozrywania pędzącymi końmi wypowiedziały katom kobiety, biegle i doświadczone w najgorszym cierpieniu.

Przeczuwa, że to, co się zaczyna, ten nadchodzący dreszcz przeszywający ją na wylot i opasujący ciało, jak iglasta szarfa, będzie straszniejszy niż wszystko, co dotąd poznała i przeżyła.

– Strzeż mojej duszy i wybaw mnie – pokornie i ufnie modli się słowami psalmisty. – Niech się nie zawiodę, gdy uciekam się do Ciebie w lęku i strapieniu, bo tylko w Tobie, Panie, pokładam nadzieję...

Odmawia dwie Tajemnice bolesne Różańca, a potem cichutko powtarza:

– Zmiłuj się nade mną. – Robi szeroki znak krzyża i próbuje klęknąć przed czarnym krucyfiksem, z którego patrzy na nią umierający Chrystus. Nie może zgiąć kolan... przeszkadza jej wielki, wypukły brzuch... więc tylko zaczyna szeptać od początku:

– Niech się nie zawiodę, bo tylko w Tobie, Panie...

Chce wierzyć, że gdy się będzie tak modliła w kółko i ciągle od początku stanie się jak polna lilia czysta i nieskalana: wtedy Bóg ją oszczędzi... Ale jej niespokojne serce albo zamiera z lęku, albo trzepoce pod sztywnym, brokatowym gorsetem, jak przerażony wróbel.

Niedawno taka szara, pierzasta kulka wpadła przez uchylone okno do zamkowej komnaty i zaplątała się pod niskim stropem.

Miotła się i tłukła przerażona, szukała ratunku i walczyła o życie, aż w końcu rozbiła łepiek o grube szyby, i choć królowa dmuchała i dmuchała w martwiejący dzióbek, nic nie pomogło: paciorkowate oczka zmętniały, zaszła na nie błoniasta powieka, wreszcie ptaszek znieruchomiał i zbrzydł, jak wszystko, z czego uleciało owo niewyobrażalne, tajemnicze, boskie tchnienie, które porusza serce i pompuje krew, a kiedy uchodzi, każdy kształt zwierzęcy czy ludzki staje

się podobny do suchego świerszcza lub pokruszonego motyla.

Królowa drży ze strachu, że to może była zła wróżba...

Wierzy w czary i znaki, chociaż jej spowiednik grozi za to piekłem. Ale czy może je lekceważyć, skoro dookoła kryje się tyle zagadek, a ona, słaba i ułomna, nie wie, jak je rozwikłać?

Żeby się pozbyć lęku o siebie i maleństwo schowane pod sercem, jak w ciepłej kołysce, kazała niedawno wezwać ormiańskiego wróżbitę, którego chwalił sam król, zazwyczaj tak niechętny przepowiedniom i kabale.

Dzień był grudniowy, wilgotny i śnieżny. Słońce ani na chwilę nie przedarło się przez niskie, szare obłoki, więc w komnacie panował półmrok, choć do wieczora było jeszcze daleko.

Mag wysunął się zza tureckiej, grubej zasłony haftowanej w kolorowe bukiety i osłaniającej drzwi przed lodowatymi przeciągami. Poruszał się cicho, jak duch, był chudy, czarniawy, podobny do gawrona. Mówił niewyraźnie i królowa musiała się pochylać, żeby go usłyszeć. Dziwiła się, bo oddech miał wonny, świeży; w ogóle, cały pachniał jak chińskie jabłko: przyjemnie i trochę kobieco.

Wystraszyła się dopiero wtedy, gdy zaczął dziobać szponiastym palcem w prostokąty tajemniczych kart pokryte dziwnymi malowidłami i popatrywać na nią spod zrośniętych brwi jednym ptasim okiem, przekrzywiając głowę i unosząc wąskie ramiona.

– Wybierz, królowo, jedną z nich – szeptał. – Minie jeszcze wiele lat, zanim świat zrozumie, jaka moc jest w tych obrazkach! Ja to już wiem, dlatego proszę, wybierz jedną, a powiem, gdzie ukryło się twoje szczęście.

Wahając się, namyślając, wylamując palce i przekładając pierścionki, królowa delikatnie, końcami paznokci wysunęła z magicznego wachlarza kartę swego przeznaczenia. Zamknęła oczy i dopiero długa cisza kazała jej zerknąć na znak, który miał być symbolem jej losu.

Była to wieża roztrzaskana burzą czy uderzeniem pioruna. Z jej krużganków, podobnych do rozczapierzonych, wielkich palców, leciały w dół bezwładne ludzkie figurki machające rękami i nogami, jakby się chciały zatrzymać w powietrzu, ale te nogi i ręce były bezsilne, przypominały połamane patyki... straszne, martwe...

Z obrazka biła taka groza i rozpacz, że królowa nie chciała już nic więcej wiedzieć...

Bojąc się, że ściąga złe fatum na siebie i dziecko, przeklęczała potem wiele godzin, błagając dobrego Boga, żeby jej wybaczył grzeszną ciekawość.

Szeroka, fałdzista spódnica wszyta w gruby wałek opasujący biodra już nie zakrywa wielkiego, niskiego brzucha. Olbrzymi, koronkowy kołnierz spada na ramiona, prawie dotykając wysokich mankietów zbierających szeroko marszczone rękawy. Królowa wygląda jak wielki trzmiel, który przycupnął na źdźble trawy i suszy błoniaste skrzydła, poruszając nimi od czasu do czasu, w nerwowym, szybkim drzeniu.

Cecylia Renata nie może usiedzieć w jednym miejscu!

Splata palce i, oburącz podtrzymując łono, długie godziny ostrożnie drepce w safianowych trzewiczkach ozdobionych kłamrą ze srebrnej koronki. Wygląda, jakby niosła przed sobą wielki, ciężki kosz. Czuje, że dziecko w jej brzuchu nie jest nową nadzieją na sukcesję, nowym szczęściem i zapowiedzią przychyłnej łaskawości męża, ale głazem, który na niej położy, kiedy wszystko się skończy, a wiosenne słońce nareszcie roztopi suche igły lodu i twardą, obcą ziemię.

Gdyby była przy niej panna von Eckerin, jej przyjaciółka i mleczna siostra, może królowa nie czułaby się taka samotna i nieszczęśliwa?

Tylko ona wiedziała, jak rozcierać łydki skamieniałe w nawracających kurczach, jak delikatnie czesać cienkie włosy królowej, żeby przynieść jej ulgę i rozluźnić żelazną, pulsującą obręcz bólu uciskającą skronie i kark. Umiała z najdalszego kąta zobaczyć pot zbierający się na skrzydełkach długiego nosa

i szybko podsunąć chusteczkę świeżo pachnącą lawendą, rumiankiem i leśną miętą.

Ona jedna otwarcie stawała po stronie królowej nawet wtedy, gdy blisko był znienawidzony Kazanowski, rajfur i hulaka tak przesiąknięty winem, że śmierdział z daleka jak niemyta beczka.

Bez panny von Eckerin królowa Cecylia Renata, przed czterema laty, w samą Niedzielę Palmową, nie wydałaby na świat następcy polskiego tronu, bo od ukrywanych jęków pękłoby jej serce.

Żeby nie drażnić chorego męża leżącego w sąsiedniej komnacie, chowała głowę w poduszki i tłumiała krzyk, gryząc zwinięte serwety. Cierpiący na podagrę i nerkowe ataki król musiał mieć spokój, więc królowa całą siłą woli i małżeńskiego posłuszeństwa udawała, że zna swoje obowiązki i umie je wypełniać!

„Nawet nie pisnęłam – wspomina, ale nie jest z siebie dumna. – Dla kogo i po co tak udawałam? Nauczyli mnie, że córka cesarza i żona króla, nawet w najgorszym cierpieniu, nie może być jak zwykła wieśniaczka lub mieszcza. Że musi dawać przykład opanowania i dostojęstwa.”

Rzucała się wtedy na łożu, kurczyła i prostowała nogi, wstrzymywała oddech rozrywana jak na torturach... aż wreszcie usłyszała koci pisk i zobaczyła dziecko umazane krwią i śluzem – malusieńki ludzki kształt, który, po strasznych męczarniach, na zawsze opuścił jej ciało, żeby żyć osobno i po swojemu.

Medyk nie był potrzebny. Mógł nadal siedzieć za grubą zasłoną i nasłuchiwać, czy usługujące kobiety dają sobie radę. Cały dwór, wstrzymując oddech, czekał, aż stanie się cud, w który już niewielu wierzyło.

Tylko panna von Eckerin całą noc klęczała przy łożu królowej.

Pomagała, jak mogła: pozwalała się szczypać, gryźć i szarpać, gdy przychodziła nowa fala bólu, żeby mówili o jej pani, że jest nie tylko płodna, ale także potrafi rodzić łatwo i szybko.

To ona, płacząc ze szczęścia i dumy, zaniósła noworodka do króla.

Zadowolony Władysław IV powitał prawowitego następcę, który miał być chwałą Korony i podporą chrześcijaństwa. Dworzanie mówili, że był wzruszony jak nigdy dotąd, ale do żony nie przyszedł... Cecylia Renata spełniła swoje zadanie, nie było potrzeby jej jakoś szczególnie honorować.

Królowa opiera brzuch na aksamitnej poręczy ciężkiego fotela i wzdycha. Wilgotnieją jej oczy na wspomnienie dobrej, wiernej przyjaciółki, którą król dawno oddalił, dając wiarę potwarzom, że jest ona plotkarą i plugawą, cesarską zmiją!

Pomimo łez i prośb Cecylii Renaty, pobożny i sprawiedliwy jezuita ojciec Lamormaine wywiózł dziewczynę z kraju. Królowa nadal czuje wielki żal i wstyd, że nic nie mogła zrobić, że ani wtedy, ani później nie liczone się z jej zdaniem... Na otarcie łez pannie von Eckerin dano z łaski dziesięć tysięcy talarów!

„Jak trzydzieści srebników – myśli królowa – którymi zapłacono zdrajcy za krew i śmierć naszego Pana! Król zemścił się za Denhoffów – królowa nie wątpi, że tak właśnie było – tych szpiegów i stręczycieli, którzy chcieli wtykać nosy także w mój dwór. Za oręż mieli intrygę i kłamstwo, a na usługach ladacznice podobne do rozpustnej Szycikowej. Moja szkatuła miała je karmić. Z mojej szkatuły planowali opłacać hańbę polskiej korony, a mnie użyć jako bezwolnego narzędzia!”

„Jakże on mnie dręczył” – królowa aż uderza zaciśniętą pięścią w oparcie fotela, jakby to była obrzydła, opasła i czerwona gęba wojewody sieradzkiego Kacpra Denhoffa.

„Chciał być marszałkiem mojego dworu, a nie powinien oporządzać nawet cuchnących wieprzów! Judził, łągał, tkął swoje sieci chcąc, żebym w nie wpadła i żeby mnie wyssał jak ohydny, głodny pająk! – myśli. – Za nic miał interes Korony, o sobie mu chodziło i o własny ród... Zamydlił królowi oczy

konwersją z kalwinizmu na naszą świętą wiarę i odtąd był nietykalny! Cóż miała począć, kiedy stał za nim potężny Kazanowski, a Denhoff był jego wiernym szpiegiem?!”

To przez nich król zapominał, że ona – pochodząca z cesarskiego rodu – zasługuje na szacunek nawet przez imię, jakie nosi: Cecylia Renata, a więc ze śmierci do życia odrodzona przez chrzest, jasna i prosta jak srebrna struna miłośniczka porządku, wierna dobru i pięknu. Jednak *caesus* oznacza ciemność i ślepotę, więc królowa, wielbiąc światło, jednocześnie kocha mroczne tajemnice i wiecznie wątpi w człowieka, który już w raju zdradził Boga i zerwał zawarte z Nim przymierze!

„Nawet królowie sprzeniewierzają się przykazaniom – myśli z gniewem. – Namaszczeni przez samego Stwórcę łamią Jego prawa. Mój małżonek publicznie znieważał nie tylko mnie, ale i święty sakrament małżeństwa, żeby zaspokoić ambicje tego rajfura i zdrajcy Kazanowskiego! Na uciechę plotkarzom ogłaszał nawet, że nie chce ze mną spać, albo że w tej samej komnacie mamy osobne łoża!”

Te plotki bolały jak świeże rany! Kobieta wiele zniesie i wytrzyma, ale głośny rechot z tego, co powinno być ciche, boli najbardziej. Są sprawy delikatne jak skrzydło motyla albo skóra niemowlęcia – trzeba z nimi ostrożnie, umiarkowanie, jak w *allegro moderato... piano, nie forte*.

Cecylia Renata nawet spowiednikowi nie zwierzała się z takich tajemnic, więc nie mogła pojąć, czemu król uczestniczy w plugawieniu ich alkowy.

„Królowa od płaczu ma czerwone oczy! Królowa jest blada od zmartwień! Najjaśniejszy Pan gniewa się na królową – wspomina. – Cały dwór huczał od tych wieści roznoszonych z radością przez moich wrogów. Cieszyli się, że mogą mi dopiec, ale naprawdę chodziło im o to, żeby nadłamać jedną gałąź z cesarskiego drzewa, choć jeszcze niedawno sławili sojusz dwóch orłów i triumfalne połączenie majestatu Jagiellonów z chwałą Austriackiego Domu.”

„Głupcy! Gdyby zważyć słowa o nadziei na wzajemną miłość, byłyby one cięższe niż skrzynia z klejnotami, którą mi wręczyli w ślubnym podarunku.”

Cecylii Renacie wydaje się, że znowu ogląda bransolety, kute naszyjniki, rozety z pereł, brylantowe diademy... że wpina w uszy miły podarunek od króla: kolczyki z diamentami wielkimi jak ziarna fasoli, oprawione w złotą nić, misternie przeplataną z tak samo jasnymi i lśnącymi włosami króla.

Król przymierzał je do białych policzków narzeczonej, delikatnie muskając jej kark i szyję opuszkami palców i krawędzią dłoni. Królowa czuła ciepło jego rąk, trzepotało jej serce, brzuch wypełniało nieznane ciepło, a wąską, białawą twarz pokrywał mocny rumieniec.

Wstydziała się, ale królowi wyraźnie podobało się jej zawstydzenie, bo rozpoznawał w nim skrywany miłosny temperament... Kochał lubieżne, namiętne kobiety. Miał nadzieję, że przyszła żona zadowoli go w łóżu, że pomimo okazywanej nieśmiałości da mu rozkosz, że jej młode, szczupłe, giętkie ciało podnieci go i zachęci do wizyt w alkowie.

W dniu zaślubin był wesoły – nawet tańczył w weselnym korowodzie, nie zważając na spuchnięte nogi i chore nerki.

Nie minęły dwa lata, a wszystko się zmieniło!

„Nigdy mu nie zapomnę, jak mnie wyrzucił z lektyki podczas polowania – wspomina. – Miał pretensje, że mu nie pomagam w układaniu się z Habsburgami, więc tak okazał niezadowolenie! Głodna, zmarznięta i przemoczona brnęłam w mazistym błocie oblepiającym suknię i nogi aż po kostki, a on mnie mijał wygodnie rozparty w kolasce i odwracał oczy...

Nawet dworzanie płakali, patrząc na moje upokorzenie!”

Płócienna płachta, którą królowa trzyma między nogami, jest znowu mokra, bo z jej łona nieustannie wypływa ta ciemnobrunatna, gęsta, cuchnąca ciecz, której nie było ani przy pierwszym, ani przy drugim dziecku.

Och!... Gdyby miała przy sobie akuszerkę z cesarskiego dworu w Wiedniu,

czułaby się pewniej, ale ona, z natury nieśmiała i lękliwa, nie zawraca nikomu głowy, coraz bardziej chora i niespokojna.

Już prawie pięć miesięcy znosi nielubiane Wilno.

Nie chciała jechać na Litwę, bała się, dręczyły ją złe sny. Gdy tylko zamknęła oczy, jakieś zjawy przemykały w oszalałym tańcu, stukały w okna, zawodziły tak głośno i żałośnie, że zaraz odzywały się zamkowe psy i od tego wycia królowa dostawała gorączki i kołatania serca.

Ze łzami prosiła, żeby król odłożył podróż, jednak nic nie wskórała: przez szyderstwo albo przekorę postanowił, że wjazd do Wina odbędzie się w święto jej patronki, świętej Cecylii.

Mogła tylko ciężko wzdychać i układać pełne usta w dziecinną podkówkę, przez co jej dolna warga wydawała się jeszcze bardziej wysunięta niż zwykle.

Mówili, że jest podobna do starej mniszki z długim nosem i żółtymi plamami na policzkach. Nie musiała patrzeć w lustro, wiedziała, że brzydnie i że się z niej śmieją!

Wileński zamek po pożarze jest niewygodny i straszny. W każdym kącie czai się jakiś kosmaty potwór z jej sennych koszmarów, podpełza do lodowatych i opuchniętych stóp w za ciasnych trzewikach, sapie w ciemnościach... a król Władysław wiecznie podpity bawi się, jak nigdy dotąd, już otwarcie lekceważąc małżonkę i kpiąc z jej skrzywionej, końskiej twarzy i surowej, nadąsanej miny.

On lubi pulchne, swawolne kobiety podobne do niezapomnianej, czarnowłosej Jadwigi, czarownicy i czarodziejki, która umiała zręcznymi dłońmi i głodnymi ustami wyszperać w królewskim ciele ten dreszcz, któremu nie można się oprzeć. Nawet lektyka przestawała mu być potrzebna, bo wielki i tłusty król przestawał czuć własny ciężar, a jego obolałe, powykręcane stawy znowu były elastyczne i młode!

Królowa nie znała takich sztuczek...

Po odmówieniu pacierzy kładła się nieruchomo w czarnym, hebanowym

łożu ze srebrnymi okuciami, tak podobnym do katafalku, aż mdliło ją ze strachu. Zamykała oczy i czekała, aż nasienie spłynie w jej szczupłe, blade ciało, sztywne z obrzydzenia i lęku.

Odwracała twarz, żeby nie czuć oddechu króla; zabijała ją ta woń gnijących zębów, fermentującego wina i wątrobianych gazów... udręczona i pełna wstrętu czekała na koniec! Modliła się, aby ten mężczyzna sapiący jak miech dał jej spokój, żeby się wreszcie zmęczył i zapragnął snu, żeby mogła go pocałować w rękę, dziękując za łaskę aktu królewskiej miłości.

On to czuł! Wiedział. I nie lubił jej za to, że nie umie udawać! Że jest jak garnek, do którego on wlewa roztopione złoto, ale w tym garnku, brzydkim i nieforemnym, zmienia się ono w brudną wodę. Coraz rzadziej kładł się na niej. Już nie szukał jej małych, szpiczastych piersi pod poczwórną marszczoną koszulą, nie wsuwał ręki między szczupłe uda, mając nadzieję, że rozchylą się drżącym, motylim ruchem. Nie szukał miękkich, bladych ust, zaciśniętych jak kreska między wąskim, długim nosem i wysuniętą brodą Habsburgów.

Nigdy jej nie lubił, nawet wtedy, gdy stukając obcasami, przyfrunęła do niego, żeby wyszeptać, że nosi jego pierwsze dziecko i że jest szczęśliwa...

Królowa nie cierpi nocy, a marcowy zmrok zapada tak szybko! Więc suwając swe obolałe, klockowate nogi, podchodzi do oświetlonej części komnaty, gdzie panny z jej fraucymeru haftują ornat dla kościoła w Różannie.

Najmłodsza z nich, przesłiczna i słodka Tekla z Lipskich, protegowana jej najmilszego, niedawno zmarłego przyjaciela i prymasa, patrzy z niepokojem na królową i już unosi się z krzesła gotowa podbiec, żeby jej usłużyć, ale Cecylia Renata krótkim ruchem ręki daje do zrozumienia, że niczego nie chce, że woli być sama...

Znowu zaczyna wędrować od okna do jasnej wnęki dzielącej dwie sale.

Myśli, że kiedy tak będzie chodziła i chodziła, obudzi wreszcie to malutkie, które zasnęło w jej brzuchu i nie chce się poruszyć! Nie stuka już drobnutką

piąstką ani wątlym kolankiem, nie przewraca się, nie dotyka serca małą piętką albo ostrym, szpiczastym łokietkiem.

Więc czemu to serce tak boli, aż brakuje tchu, i królowa, żeby nie zemdleć, musi się co chwila zatrzymywać i łapać powietrze w płuca ściśnięte twardym gorsetem, haftowanym w srebrne kwiaty i liście tłoczone na czarnym aksamicie, z perłową aplikacją.

Dziesięć dni wstecz boleśnie i mocno uderzyła się w brzuch, gdy uciekała przed niedźwiedziem, trzymanym do zabawy z psami.

Na okrągły, zamkowy dziedziniec ogrodzony kamiennym murkiem wypuszczano specjalnie szkolone brytany. Miały się mocować z dziką, kosmatą bestią, drażnić ją i podgryzać, żeby wreszcie rzuciła się na sfore, w nieprzytomnym, wściekłym szale...

Królowa nie lubiła tych okrutnych zabaw, ale bała się do tego przyznać, bo szlachta kochała „krwawe widoki” i nie żałowała ani psów, ani niedźwiedzi... Przed każdą walką głodne i przerażone zwierzęta trzymane na żelaznych łańcuchach wariowały na widok każdej ludzkiej sylwetki i z rykiem rzucały się na pręty klatki!

Cecylia szła do dolnego zamku, żeby ucieszyć uszy muzyką... W teatrze trwały próby do *It ratto di Helena* Scacchiego. Było ślisko, patrzyła pod nogi, żeby się nie przewrócić na cieniutkim, przeźrocystym lodzie pokrywającym kamienne płyty, i nie zachowała koniecznej odległości od grubych, żelaznych reków.

Jakże się przeraziła kosmatej łapy z czarnymi, zagiętymi pazurami, które prawie dotykały jej ramienia!

Ona, kochająca łowy jak bogini Diana, nie powinna się bać, ale przechodziła tak blisko, że zobaczyła tuż obok siebie małe, czarne ślepia bez źrenic, poczuła smrodliwy zapach z otwartej paszczy i dziką, oszałamiającą, obcą woń wiatru.

Przeraziła się, zerwała do ucieczki, potknęła i zawadziła wypukłym łonem

o ciężki, metalowy zawias przy wrotach.

Dziecko rzuciło się, jakby mu nagle zabrakło tchu: cały brzuch przesunął się na jedną stronę i gwałtownie opuścił, potem stwardniał, jak nigdy dotąd. Nogi zrobiły się ciężkie, jak z kamienia... Serce to się zatrzymywało, to pulsowało drobnym, bolesnym i szybkim stukaniem.

Królowa chciała wzywać medyka Kraffta, ale po paru chwilach poczuła się lepiej. Tylko oczy musiała co rusz przecierać, bo zasnuła je dziwna mgła, której nie mogła się pozbyć do następnego ranka.

Od tamtej chwili nie może się uspokoić!

Gdyby mogła porozmawiać z mężem! Zwierzyć się... Spojrzeniem albo szlochom powiedzieć, jaki ją dręczy strach o nienarodzone dziecko, jak wsłuchuje się w siebie, jak całą siłą woli trzyma tę wątłą nitkę życia, które oboje przecież zasnuli w jej ciele!

Ale jego, jak zwykle, nie ma!

Królowa domyśla się, z kim jej mąż hula po nocach.

Wie przecież, że tamta, różowa i świeża, jest na zawsze między nimi od chwili, kiedy oparta na ramieniu rosnącego kawalera oglądała z okna ich ślubny orszak i specjalnie śmiała się tak głośno, żeby wszyscy, zamiast na pannę młodą w bieli i czerwieni, patrzyli na nią – na jej świetliste oczy, włosy opasujące zgrabną głowę jak krucze skrzydła, białe, pełne ramiona i cudowne piersi wyglądające z błękitnego stanika obszytego złotą koronką i tak głęboko wyciętego, że widać było sutki w kolorze cynamonu. Cecylia znienawidziła ją od pierwszego spojrzenia za to, że ośmiela się wysuwać przed nią, cesarską córę, a taka jest piękna, że nie można się z nią równać!

Tamta rodziła zdrowe dzieci... Również królowi dała silnego, krzepkiego syna. Cecylię Renatę serce boli na myśl, że był nie do porównania z mizernym następcą tronu, z królewiczem o twarzy cherubina i wątłym, słabym ciele. Chłopcem cichym i delikatnym, jak jego matka...

Królowa aż się potyka, bo nagle uświadamia sobie, że gdyby jej zabrakło, los Zygmunta Kazimierza może być tragiczny. Nie wiadomo, jak długo panna Rozyna von Eckenberg zostanie na dworze, więc jej aniołek może być zdany na łaskę nadwornego marszałka, zgodnie z wolą króla już wyznaczonego na ochmistrza małego królewicza!

Królowa widzi nienawistną twarz stolnika Kazanowskiego.

„Ten drań, który nawet trzynastoletnie dziecko powlókł do ołtarza, bo mu się to opłacało – myśli z rozpaczą – nie będzie miał względów dla mojego syna!”

„O, dobry Boże! Niebioso, wysłuchajcie mnie! Lepiej by było, żeby mały Zygmunt zszedł z tego świata rychłą śmiercią, niż aby żył pod jego opieką... polski wilk chętnie zatopi kły w habsburskim jeleniu!” – Królowa kochająca polowanie szybko tworzy obraz drapieżnej pogoni zakończonej rozzwierającym, śmiertelnym krzykiem młodego podrostka. Znowu brakuje jej tchu!

Siada na ciężkim, dębowym zydlu rzeźbionym w liście winorośli i opartym na klockach w kształcie zwierzęcych łap. Zastanawia się...

Potrzebny jest jej sojusz, który ochroni Zygmunta Kazimierza, gdyby jej zabrakło! Myśli o biskupie kujawskim Mikołaju Gniewoszu, ale on od trzech lat rzadko pokazuje się na dworze, więc i słuchać go będą tutaj mniej chętnie niż kiedyś!

Ach, jakże teraz żałuje, że podniosła czynsz dzierżawny kanclerzowi litewskiemu Radziwiłłowi. Był taki oddany, a zamienił się w nieprzyjaznego szkodnika i liczyć na niego już nie można!

Królowa czuje, że to musi być ktoś, dla kogo własne powodzenie jest niczym wstążka w panińskim warkocz – zdobi i podtrzymuje niesforne kosmyki, ale, kiedy zetną warkocz, i wstążka idzie w ką! Tylko jeden człowiek w Rzeczypospolitej przychodzi na myśl królowej... Tylko on może jej pomóc!

Więc każe natychmiast wezwać Ossolińskiego, bo poza nim nie znajduje nikogo, komu mogłaby zaufać.

„Związał swój los z losem Władysława, więc i królewiczem się zajmie, gdyby mnie zabrakło – królowa siedzi ze spuszczonej oczami, jak zwykle obejmując wypukły brzuch, ale pod białym, koronkowym czepkiem aż się gotuje od przelatujących myśli. – Będzie musiał przysięgać na krzyż, że nie odstąpi od Zygmunta. Jezuici go nauczyli, że takiej przysięgi nie wolno złamać... dotrzyma, nie będzie miał wyjścia...”

Długo czeka, a kiedy wreszcie Ossoliński się pojawia, w ciemnej sali wszystko drga i pulsuje od jego ciężkich, zdecydowanych kroków, zimnego powietrza, jakie z sobą wnosi, i dumy wielkiego pana! Nawet królowa lekko się uśmiecha. Szerzej otwiera oczy, tak podpuchnięte, że ledwie je widać, jakby chciała powiedzieć: widzisz? Nie jest tak źle...

On jest przerażony!

Widzi białą, ciastowatą twarz cierpiącej kobiety, widzi, że śmierć, jak szary nietoperz, rozciągnęła nad nią swoje skrzydła, że jej nie odpuści, nie odleci, że już ją ma w swoich pazurach, że smakuje jej krew, na razie pomaleńku, po kropli, żeby przedłużyć przyjemność wylizywania cudzego życia z kruchych, cieniutkich żył.

– Najjaśniejsza Pani – mówi i pochyla się w niskim ukłonie do jej kolan, prawie niewidocznych zza ogromnego, niskiego już brzucha. – Najjaśniejsza Pani – powtarza – mam nadzieję, że zdrowie...

Przygotował sobie stosowną orację, ale na widok królowej, on, taki znakomity mówca i dyplomata, płacze się i gubi słowa.

Cecylia Renata nie ma zamiaru przedłużać rozmowy, dlatego przerywa, choć rozumie, że nie powinna przeszkadzać w powitaniu:

– Zdrowia nie ma i pewno nie będzie... Nie ma też czasu, dlatego zaraz powiem, co mi leży na sercu. Dobry Bóg każe prosto mówić o tym, co ważne, i błagać o łaskę zrozumienia.

Piękny, rosły mężczyzna pochyla ciemną głowę na znak, że będzie słuchał

z wielką uwagą i cierpliwością. Na jego rumianej, zdrowej twarzy widać troskę i współczucie dla tej kobiety, która gaśnie na jego oczach.

Królowa patrzy, jak potężne ramiona kanclerza Ossolińskiego prawie rozsadzają jego adamaszkowy żupan zapinany na złote guzy, przygląda się dumnej głowie, ocenia piękny, olbrzymi diament spinający sobolową delię i myśli, że taki człowiek mógłby utrzymać wielkie królestwo, gdyby prawowity władca potrzebował jego pomocy. Gdyby na przykład był zbyt mały, żeby włożyć koronę... albo potrzebowałby pomocnika, wiernego przyjaciela, silnego przewodnika do czasu, kiedy dorośnie i zacznie poruszać się samodzielnie i pewnie!

Królowa wie, że w Polsce kanclerza nienawidzą, że mają mu za śmiertelny grzech parcie do wzmocnienia królewskiej władzy, że lżą go za to, jak po kawałeczku wyrywa magnatom swobody i przywileje, żeby je zagarnąć pod monarszy płaszcz... Ma wrogów, ale jest nadal silny, a ona dla swojego syna potrzebuje właśnie takiego opiekuna. Każe mu więc przysięgać na ukrzyżowanego Chrystusa, że nie opuści czteroletniego Zygmunta Kazimierza, w którym płynie krew wielkiego polskiego króla i potężnego, niemieckiego cesarza; że dopilnuje, aby wyrósł na monarchę godnego korony, którą założy, że nauczy go wszystkiego, co władca powinien umieć.

Rozkłada palce lewej ręki i wylicza:

– Będzie mówił po włosku i niemiecku. Łacina też, ale to już sprawa zakonu, bo tak jak waćpana wychowają go jezuici... Może jeszcze szwedzki, na pamiątkę dziada po mieczu? Znajdziesz nauczycieli, tylko nie surowych... dla mojego anioła nie trzeba różgi! Nie chcę, żeby wyrósł na okrutnika, a bicie dzieci tylko tym skutkuje!

Ossoliński wzdycha, bo przypomina sobie kolegium w Grazu i lanie, jakie dostawał od swojego preceptora, ale lituje się nad biedną, chorą królową, dlatego przymyka oczy na znak, że rozumie i że będzie tak, jak ona chce!

Cecylia Renata patrzy na drzwi, jakby się spodziewała, że za chwilę Katarina von Luckenberg wprowadzi do sali drobną, wdzięczną postać w żupaniku, papuzich pluderkach i okrągłej czapce z fryzowanymi piórami na bardzo jasnych włosach. W jej synku wszystko jest udane: i bystre, niebieskie oczka, i zgrabne ramionka, i długie, proste nogi, i wcięta talia! Trzeba pilnować, żeby tak zostało!

–Tak, *educatio corporis*... koniecznie pod okiem mistrzów! Niech go nauczą właściwej postawy, pańskich gestów, dostojęstwa i dobrych manier. I muzyka! Och, muzyka na pierwszym miejscu... I taniec!

Królowa się uśmiecha z wielkim zadowoleniem i czułością. Przypomina sobie, jak kiedyś, dla zabawy, uczyła swego małego synka tańczyć gawota.

Jak poważnie podawał jej rękę w kolejnych figurach! Jak ślicznie zginał się w ukłonach! Słyszał muzykę i nie mylił metrum – ma to po niej! No, po swoim ojcu też, na pewno! Nie ma nikogo, kto by nie wiedział, jak muzykalny jest polski król!

– Może Marco di Scacchi? To wielki artysta i dobry człowiek, trzeba by go poprosić o wgląd w kształcenie królewicza... Jest jeszcze młody, więc nie będzie wprowadzał zbytniego rygoru. Niech mu pomaga kapelmistrz Pękiel, który tak pewną ręką prowadził śpiewaków i orkiestrę, że do tej pory w uszach dźwięczą cudownie zespolone głosy siedemnastu chórów śpiewających *Missa pacis*!

Cecylia Renata słyszy smyczki i towarzyszący im fagot, dalej grzmiały puzony i włącza się bas, a nad wszystkim płynie słodki, wysoki głos, brzmiący tak pięknie, że chce się go słuchać i słuchać, bez końca!

Już dosyć długo trwa ta chwila, kiedy królowa wygląda, jakby spała: odchylną do tyłu głowę oparła o wysokie krzesło, oczy ma zamknięte. Nie wiadomo, co robić? Odezwać się? Czekać?

Kanclerz Ossoliński postanawia, że będzie czekał tak długo, jak będzie trzeba. Mijają minuty... Nagle, na granatowo-szarym niebie widocznym za oknem pojawia się mały skrawek błękitu i słoneczny promień wdziera się do komnaty,

prosto na białą twarz królowej. Jej przymknięte powieki drgają i po sekundzie Ossoliński widzi zupełnie przytomne, uważne oczy, bez najmniejszego śladu zmącenia czy nieuwagi.

Ależ ona dokładnie wie, co się dzieje! Ma swój plan – po prostu odpoczywa, kiedy się zmęczy... Kanclerz Ossoliński podziwia tę umierającą kobietę, której nie doceniał, bo była tylko cieniem swego królewskiego małżonka.

Pamięta piętnastolatkę w zbyt dorosłej sukni misternie wyszywanej rubinami i płatkami złota... Jak ona patrzyła na młodego polskiego królewicza, który pielgrzymował do Loreto i którego Urban VIII ogłosił nadzieją i obrońcą wiary! Jeszcze nic nie było wiadomo, jeszcze żył stary król Zygmunt; jeszcze wszystko dopiero zawiązywało się i pączkowało na królewskim drzewie Europy, gdzie plątały się gałęzie wyrastające z różnych dworów i nie było jasne, na której, jakie wyrosną owoce.

Królewicz Władysław wtedy trzydziestoletni i w pełni sił mógł się podobać! Było wiadomo, że szuka żony, więc wszystkie arcyksiężniczki czy infantki rumieniły się, kiedy na nie spoglądał wypukłymi oczami, o bardzo jasnych tęczęwkach.

Minęło jeszcze wiele lat, zanim on, Jerzy Ossoliński ruszył rokować z Ferdynandem warunki królewskiego mariażu. Miał poparcie papieża i hiszpańskiego króla Filipa IV. Ale przed sobą miał także dąsy polskich panów, sprzeciw królewskiego rodzeństwa i wreszcie, w ostatniej chwili, wahanie samego Władysława, który ni stąd, ni zowąd zaczął mówić o zerwaniu ślubnych pertraktacji! Czyżby przeczuwał, że co się źle zaczyna, to się dobrze nie skończy?

Do dzisiaj wielki kanclerz koronny poci się ze zdenerwowania na wspomnienie Iłży. Nawet Magni, chytry lis, nie mógł rozweselić króla, który po latach zobaczył przyszłą żonę i cały dwór wiedział, że mu się nie spodobała, bo była zupełnie inna niż ta młodziutka dziewczyna sprzed lat...

Z mocną, dolną szczęką, cienkimi włosami w odcieniu miedzi, blada,

sztywna, zimna i skryta jak wszystkie Habsburżanki nie pasowała do dobrodusznego, pogodnego Władysława, który miał gorący temperament, kochał wesołe, łatwe i piękne kobiety, biegłe w miłosnej materii!

Ossoliński aż się kurczy pod sobolową delią, kiedy wraca pamięcią do awantury podczas weselnej uczyty.

Poseł brandenburski i królewicz Karol Ferdynand wzięli się wtedy za łby i trzeba było nie lada dyplomacji, żeby ich uciszyć i pogodzić...

Potem pokłóciły się żony senatorów, a jakby tego było mało, od źle podłożonych ładunków, które miały hukem i blaskiem uświetnić uroczystość, prawie spłonęła kolegiata św. Jana!

„Wariactwo, prawdziwe wariactwo” – myśli kanclerz, ale musi dać spokój wspomnieniom, bo królowa zaczyna mówić dalej, jakby nie było żadnej przerwy w rozmowie i jakby słowami odpowiadała na niespokojne myśli tłukące się w jej głowie:

– Trzeba go zdrowo karmić! O to zadba panna von Eckemberg, ale chcę, żeby pamiętano o najważniejszym: nie wolno mu jeść zbyt dużo owoców. I broń Boże pić po nich zimnej wody!

Biedna królowa. Nie ma pojęcia, że w tej chwili jej przewidująca troska o syna, wypowiedziana w złą godzinę, leci w przyszłość, jak zatruta, czarna strzała...

Na razie wierna córka Kościoła modli się żarliwie o szczęście swego dziecka i wierzy, że to wystarczy.

– I podróże! Obiecaj waćpan, że przypilnujesz, żeby poznał Europę i żeby się kształcił! Koniecznie historia starożytna i filozofia. To takie ważne...

Królowa cichutko chichocze:

– Nie musi się nazywać Snopkowski, gdy pojedzie w świat, ale gdyby chciał, to niech wie, że jego ojciec pod tym nazwiskiem przetańił gościńce, więc niech pyta o wszystko, co go będzie obchodziło...

Znowu milczy dobrą chwilę, oddychając szybko i płytko, jak po wielkim wysiłku, a potem dodaje:

– Pragnę jeszcze, żeby w jego komnacie zawsze wisiał mój portret. Ten w czerwonej sukni z kryzą i kokardami... W koronie. Taką ma mnie pamiętać. Wtedy jeszcze miałam nadzieję, że... zresztą nie warto o tym mówić! Polityki nie rozumiem, więc waćpanu zostawiam troskę o to, aby mój syn był wielkim królem. Nauczysz go rządzenia, bo na *educatio regis* znasz się jak mało kto... Obiecuj, że nie będzie sam, kiedy przyjdą na niego ciężkie godziny. Przysięgnij!

I pamiętaj, że jeśli moja wola nie będzie uszanowana, przyjdę i upomnę się o syna...

Powiedz królowi, że, gdyby miało stać się najgorsze, będzie wiedział pierwszy, bo mu dam znak we śnie... Obiecuję... tak się stanie. Słusznie się mówi „prośby matek nie są daremne!”, więc i mnie Niebo wysłucha. Uprzedzę o nieszczęściu...

Kanclerz Ossoliński całuje jej dłoń, potem zbliża rękę królowej do swego czoła, klęka i o mało się nie przewraca, bo spod krynoliny bije mu w nozdrza mdlący, trupi odór, tak wstrętny, że wielki kanclerz zrywa się i wycofuje szybciej niż należy, byle tylko dalej od niej, byle na czyste, mroźne powietrze, na wiatr, który przeniknie go do kości i wytrzepie z szat ten zapach świeżego grobu.

A królowa bardzo zmęczona, ale spokojniejsza opiera głowę o wysokie oparcie krzesła i czuje, jak wszystko dookoła mąci się i faluje.

Wydaje się jej, że komnata to wielka, zielona wanna, a ona w niej pływa, ale jakoś po wierzchu ciepłej wody pachnącej bagnem i różowymi łądygami tataraku. Nie ma siły się poruszać, jednak nie idzie na muliste dno. Unosi się na wodzie jak liść, jeszcze żywy i sprężysty, ale już poznaczony brunatnymi plamami pleśni.

„Co z tego? – myśli królowa. – Jeszcze płynę, jeszcze mnie nie wciągnął czarny nurt... jest mi dobrze i spokojnie, jak nigdy. Nie chcę być w innym

miejscu. Nie chcę wracać!”

A jednak wraca, bo panny z fraucymeru zaniepokojone jej bezruchem zaczynają się krzątać, budzić ją i namawiać, żeby się wreszcie położyła w olbrzymim łożu, na atlasowych poduchach ze wstawkami z jedwabnej koronki.

Blednąc i z trudem powstrzymując wstręt, Tekla Łaska wyciąga spod królowej ciężką płachtę zalaną rdzawą, gęstą ciecżą. Komnata wypełnia się takim smrodem, że młodzianka dwórka nie wytrzymuje, ucieka, zanosząc się od płaczu. Musi ją zastąpić chuda mniszka w brązowym habicie. Ta, spokojnie i powoli obmywa Cecylię Renatę, podkłada czyste prześcieradła, zakłada miękką koszulę i nowy czeppek, a na koniec obchodzi sypialnię z mosiężną łopatką, na której żarzą się jakieś zioła i kawałeczki pachnącej żywicy.

Królowa nie chce jeść.

Dają jej rosół z żółtkiem, ale krzywi się i marszczy długi nos w śmiesznym, dziecinnym grymasie. Mówi, że mogłaby zjeść wiśnie; te wielkie, błyszczące, prawie czarne wśród wąskich, zielonych liści... Ich sok plamił palce, ale były słodkie i pachnące. Już nigdy później takich nie jadła, tylko w cesarskim ogrodzie, w Wiedniu... Spod szaro-brązowej kory drzewa płynęła złota struga soku, który można było ugniatać w palcach i żuć, czując na języku gorycz i miód, będące zapowiedzią tego, co się jeszcze wydarzy.

Dają jej spokój. Pozwalają spać i śnić takie obrazy, których nigdy nie widziała i nie przeżyła, ale instynktownie wiedziała, że gdzieś są, więc je lubiła i zapamiętywała, żeby nie uleciały i nie zostały zapomniane.

Dzisiaj śni, że klęczy przy balaskach ołtarza i czeka na komunię świętą. Stopnie ołtarza są zimne, twarde, niewygodne... królowa całą uwagę skupia na tym, żeby się z nich nie ześlizgnąć i nie upaść.

Nagle widzi przed sobą rękę księdza trzymającą opłatek. Już otwiera usta i wysuwa język, ale hostia wyfruwa z jego palców i leci w dół. Królowa ratuje ją

przed świętokradczym upadkiem, ale czyni to nie wykonując żadnego ruchu, jakby tylko siłą myśli i woli.

Biały krążek leży znowu na patenie, lecz nagle, na oczach królowej zmienia się w kawałek ciała, tak umęczonego, zbitego, jakoś poskręcane, że królowej robi się strasznie żal. Więc sama, własną ręką podnosi tę dziwną hostię i kładzie ją do ust, myśląc, że będzie ona bezpieczna na samym dnie jej serca. W tej chwili, jak obłok, spływa na nią zielony i złoty spokój!

Wypełnia ją radość, jakby miała w środku wielki, rybi pęcherz połyskujący srebrzystym błękitem i piękniejszy od wszystkich pereł, jakie są w cesarskim skarbcu.

Budzi się, patrzy w czarne okno i znowu majaczy.

Widzi jasne światło płonącej świecy. Nie jest ostre i nie razi oczu, raczej roztacza miły blask załamujący się na krawędziach złocistych obręczy nad głowami kobiety, mężczyzny i dziecka, zupełnie jak na obrazie Matki Boskiej Świętorodzinnej podarowanym królowej przez jej cesarskiego ojca... Obraz był piękny, wisiał w królewskiej sypialni i Cecylia Renata lubiła na niego patrzeć zaraz po przebudzeniu.

Wydaje się jej, że postacie na obrazie żyją, poruszają się, coś do niej mówią, coś pokazują, więc królowa zbiera wszystkie siły, żeby niczego nie przeoczyć.

Szczególne kobieta przykuwa uwagę królowej. Ciemnoniebieską suknię przykryła białym fartuchem, jak gospodyni, która tylko na chwilę przysiadła do kolacji... Z miłością i troską przygląda się synowi ubranemu w czerwoną szatkę z białym kołnierzem. Przygotowała dobrą kolację: na stole są kurczęta, chleb i wiśnie, takie, o jakich królowa niedawno marzyła i jakich już pewnie nie spróbuje...

Jest i gruszka, soczysta, na pewno słodka; królowa aż przełyka ślinę na wspomnienie swego dzieciństwa, bo i jej dawano takie owoce.

Mogłaby już nigdy w życiu niczego nie jeść, gdyby teraz dostała taką

miękką, ociekającą sokiem gruszkę!

Gdyby tak udało się jej przemknąć siwą mgłą przez ten pokój w Nazarecie! Gdyby mogła przycupnąć w kącie i tylko patrzeć na ten spokój i miłość, za którymi tęskniła całe życie!

Ten mężczyzna dający dziecku pić jest jak skała: silny, kochający, na pewno mądry; zupełnie jak wielki cesarz Ferdynand, jej dobry ojciec... Nie cierpieli go w Europie; nazywali dewotem i drewnianym słupem. Tylko na polskim dworze miał życzliwego sobie szwagra, więc i jego córka wyrastała w przekonaniu, że możliwy jest mariaż między austriackimi Habsburgami i polskimi Wazami.

Minęły lata i Cecylia Renata już wie, że wszystko było możliwe w Europie, z wyjątkiem szczęśliwych kobiet na królewskich i cesarskich tronach!

Trzepotliwą myślą przywołuje cały ich korowód, wydobywając z mroków pamięci najpierw swą matkę: nieładną, nieśmiałą, niemrawą Annę Bawarską.

Widzi znajome dołki na skroniach, które trzeba zasłaniać drobnymi loczkami albo sutym czepcem, i blade wargi, prawie niewidoczne nad wystającą brodą, i rdzawy puch piegów, które wyglądają jak słoneczne paprochy na białej porcelanie.

Odnajduje w niej tyle swoich gestów: zdecydowany ruch dłoni przecinający cudzy opór: takie „nie!” lub „dosyć!”. Zawstydzienie widoczne w uśmiechu, który lekko unosi same kąciki małych ust, i oczy, jedynie piękne w tej nieładnej twarzy: migdałowe, cudownie szare w oprawie długich, wygiętych rzęs.

Jak te oczy lśniły od niewypłakanych łez po zmarłych synach!

Cecylia Renata w przedziwnie odczuwanej solidarności z prawie zapomnianą matką czuje jej straszny, ukrywany ból i po raz pierwszy w życiu złości się na ukochanego ojca za to, że nic nie rozumiał!

„Jak można kazać matce chwalić Boga za to, że zabrał jej dziecko?” – myśli królowej tylko muska tę sprawę. Jeszcze nie jest gotowa. Minęły dopiero dwa lata, więc na razie z daleka, ostrożnie i tylko w półsennym marzeniu Cecylia

Renata podchodzi do trumny swojego drugiego dziecka.

Nie tej bogatej, miedzianej, zdobionej ręką mistrza Jana Chrystiana, tylko tej zrobionej z własnych ramion tulących ciało malusieńkiej dziewczynki.

Nie ma siły na samotny płacz, więc znowu, przy pomocy myśli, zaprasza do żałoby kobiety: królewskie wdowy, siostry i matki, które rozumieją, co ona czuje!

Niech otoczą łóżko ciężarnej władczyni, która martwi się o los jednego dziecka, oplakuje drugie i w udręce oczekuje trzeciego. Niech przy niej będą. Niech ją pocieszą...

Królowa ma zamknięte oczy, ale słyszy szelest ciężkich sukien na rogówkach, leciutki stukot kieliszkowych obcasików i szmer rozcinanych rękawów, które fruwią jak wielkie skrzydła...

Najpierw przychodzi ukochana Eleonora Mantuańska, przepiękna macocha, którą Cecylia Renata uwielbia i która jest dla niej dobra.

Ciągnie się za nią korzenna, egzotyczna woń kwiatów i owoców, które hoduje z wielką umiejętnością i zapalem. W białej, wąskiej dłoni trzyma niezwykłą roślinę, wyglądającą jak kawałek strzępiastego, cętkowanego futra pachnącego wanilią, cynamonem, ananasem i różą. Cecylia Renata wie, że został wyhodowany specjalnie dla malutkiej Marii Izabeli. Jest szczęśliwa i wdzięczna, także za brylantową łązę, która zastyga na koszulce dziecka, tworząc początek niezwykłego naszyjnika od kobiet połączonych wspólnym losem.

Myśl królowej przywołuje również jej ulubioną szwagierkę Annę Konstancję, która tyle razy w komnatach królowej szlochała z upokorzenia, wstydu i żalu, bo nie można było znaleźć męża, który wziąłby ją z bez targów i obliczania, ile jest warta.

Wybierała dla niej kolczyki, które rozświetlą żółtawą cerę i odwrócą uwagę od zbyt wypukłych oczu. Godzinami przymierały sztywne kryzy, szukając takiej, która nie skróci i tak nieforemnej, grubej szyi.

Obie tak długo dręczyły króla, aż się zgodził dać siostrze olbrzymi posag, za który ją wreszcie sprzedano: małą, paskudną karlicę o złotym sercu!

Żegnała ją na Rynku Kazimierzowskim w parny czerwcowy dzień.

Stała sztywno, oczy miała suche i piekące od powstrzymywanych łez. Dygotała pod ciężką, czarną suknią, dusiła się w kurzu i upale, nieszczęśliwa i samotna, z pustym brzuchem i pustą kołyską! Tylko szwagierka ją rozumiała, więc teraz znowu chce, żeby była blisko!

Konstancja jest mądra, gospodarna, roztropna... Dobrze w nieszczęściu mieć przy sobie taką przyjaciółkę! Jej brylant do naszyjnika to najpiękniejszy klejnot z bezcennej kolekcji, którą gromadzi przez lata. Ostatni dar dla małej bratanicy błyszczący jak mała gwiazda...

Ledwo przyjeżdża ze swego Neuburgu, a już chce pomóc albo usłużyć; krząta się jak pracowity, mały skrzat... trzepie, wietrzy, pogania służebne, a potem siada na niskim taborecie, bo tylko z takiego jej krótkie nogi sięgają ziemi i, głośno sapiąc, przesuwa paciorki różańca, wzdychając przy kolejnych zdrowaśkach.

Z czarnej mgły myśl królowej wyławia teraz inną Konstancję, tę, która w łożu królewskim zastąpiła zmarłą siostrę i przekonała się, że nie umie jednakowo czułą miłością kochać własnego syna i pasierba.

Skąd brała siłę ta szczuplutka, ciemnooka szesnastolatka? Jaka mądrość nią kierowała? Młodziutka i niedoświadczona, a jednak trzymała w ryzach cały dwór i zasłużyła na miłość oraz bezwzględne zaufanie niemłodego już i podejrzliwego małżonka.

Na jej purpurowym staniku błyszczy diamentowa zawieszka; talizman, który chronił ją przed śmiercią w połogu. Podłużny rubin i dwie ogromne perły podtrzymują brylantowe litery: IHS...

Trzyma się prosto, patrzy śmiało, widać, że wie, czego chce! Zasługuje na opinię tej, która umiała uszczęśliwić trudnego mężczyznę!

Cecylia Renata w błysku jasnowidzącego współczucia zastanowi się jednak, czy ona sama była szczęśliwa. I zobaczy ją, jak w strasznym skwarze idzie wpatrzona w monstrancję przypominającą złote płomienie, spocona, w ciasnej, sztywnej sukni, bez tchu...

„Ostatnia droga godna królowej” – Cecylia Renata podziwia pątniczkę. – Niedługo ją zapytam, dlaczego w takim upale nie nakryła głowy? I czemu brylant od niej jest jak ognista iskra. Pali żywym ogniem...”

Nagle pojmuję, że ta kobieta, którą jej myśl odnalazła na czele uroczystej procesji, w strasznym słońcu, w słodkim i dumnym akcie samozagłady, przypomina damę kier! Karta obraca się, a przed oczami Cecylii Renaty pojawia się słodka, delikatna Konstancja, znowu obrót i królowa patrzy na niewysoką, kręłą blondynkę o jarzących się, niebieskich oczach.

„To przecież Anndl, moja świekra! Podobna do syna jak dwie krople wody! Te same płuwe, grube włosy, te same bardzo wypukłe oczy; ta sama pulchna twarz, która u Władysława jest jeszcze okraglejsza. Garbi się w swojej czarnej sukni, tak pokorna i nieśmiała, że prawie niewidoczna; jakby nie pamiętała, że to dzięki niej na Wawelu cieszą się, że po sześćdziesięciu sześciu latach królewska rodzina nareszcie doczekała się potomka!”

– Pochowałam dwie malutkie Katarzyny – głos Anndl przypomina ptasi świergot. – Z jedną trumienką przepłynęłam morze... Widziałam, jak ogień niszczy Wawel, trawiąc portrety moich najbliższych. Ciężko chora rodziłam przyszłego króla, zawsze gotowa radośnie umrzeć, aby spełnić wolę Pana...

W lutowy dzień, po pięciu latach od narodzin pierwszego dziecka, kiedy zamkowy zegar wybijał dwunastą, z mojego martwego brzucha wyciągali chłopca, który tylko raz odetchnął ziemskim powietrzem i poszedł za mną do wieczności. Niczego się nie bałam, oprócz gniewu Bożego, nic nie było mi straszne... przez dwadzieścia pięć lat mojego życia poznałam wszystkie tragedie kobiecego przeznaczenia! Nikt cię nie rozumie lepiej niż ja...

Królowa wyciąga gorącą rękę, chcąc pochwycić i ucałować dłoń świekry, ale trafia w próżnię. Za to słyszy miły, delikatny głos śpiewający dziwną piosenkę:

O zwodniczy świecie,
O Cecylio,
O niestały świecie,
Nie ma w tobie nic stałego,
Nic, co by radowało...

Królowa powtarza smutne słowa do melodii, której nie słyszała nigdy wcześniej, ale ją zapamiętuje, chociaż jest trudna i nie do podrobienia, jak śpiew wilgi albo kosa.

O du trugerische Welt
O Cecylie
O du unbestandige Welt
Es gibt in dir nichts
Was retten wurde...

Dwie siostry, czyli dwie ciotki królowej, z których jedna jest matką jej małżonka, nucą razem z nią. Kręcą się przy tym i obracają jak weneckie karnawałowe figury. Brakuje siły, żeby za nimi nadążyć!

Zresztą, ona czeka na tę najukochańszą, najmiłą, najbliższą, której kazano poślubić starego wuja, żeby się nie zachwiał tron Bawarii!

Cecylia Renata pamięta swą siostrę roześmianą i lekką, jak płatek śniegu, w ramionach przystojnego tancerza na balu w letnim pałacyku cesarskim pod Wiedniem.

Był upalny, pachnący jaśminami czerwiec... Ojciec i macocha pozwolili na tańce, a młodzi Polacy byli wówczas rozrywani przez urocze w swej niewinnej młodości panny, ubrane w ciężkie suknie, które kołysały się zalotnie przy każdym ruchu bioder. Wszystkie miały loki zebrane nad uszami w śmieszne

pędzelki i mocne rumieńce na bielutkich twarzyczkach.

Maria Anna długo w noc szeptała do ucha Cecylii najśladniejszy sekret: serce stukowało jak srebrny młoteczek w małym dzwonku, kiedy on, ten najważniejszy, na nią patrzył, kiedy ją unosił w galiardzie, kiedy czuła jego mocne dłonie na cieniutkiej talii, w mocno zasznurowanym gorsecie.

Młodziutka księżniczka dobrze wiedziała, po co ci weseli, szumni Polacy jeżdżą po Europie i dlaczego po spotkaniu z nimi sny są gorące i słodkie!

Nie było łatwo przestać śnić, ale córa dumnego Ferdynanda to potrafiła...

Kiedy wreszcie przychodzi, wszystkie królowe pochylają głowy w lekkim ukłonie: ona, jak cień, przesuwają się po błyszczącej posadzce i kładzie chłodną dłoń na czole chorej siostry; ale powieki ma spuszczone, jak zwykle...

„Podnieś oczy... podnieś oczy... – myśl królowej próbuje przeniknąć przez szeroką opaskę z pereł podtrzymującą czarny welon Marii Anny, ale jej serce wie, że to niemożliwe! – Po co ci tyle klejnotów? Ten rubin we włosach lśni żywą krwią, a perły oprószyły ręce, szyję i suknię jak mleczny deszcz. Piękna, jasna twarz jest lodową maską, a ręce to zimny bandaż na pulsującą i krwawiącą ranę!

Co ona mówi? Czy królowa naprawdę słyszy cichy szept: ... „lepiej się stało... lepiej...”?

Myśl królowej coraz śmielej bada, czy już może wejść na teren do teraz niedostępny, skoro jej mądra i dobra siostra tak ją do tego zachęca i przekonuje.

„Może istotnie lepiej, że to moje dziecko odeszło, zanim zdążyło naprawdę zapłakać? Taka malusienka dziewczyneczka, a już ciało poskręcane w kurczach i konwulsjach sprawiało jej ból, nie dało się ugłaskać, uspokoić, żyło po swojemu, cierpiało ponad miarę! Po co jeszcze jedna nieszczęśliwa, bezradna, naznaczona cierpieniem dziedziczka skazy Habsburżanek? Zasłużyła, żeby ją utulić, uspokoić, ubrać w anielski puch i nareszcie pozwolić, żeby odfrunęła jak najpiękniejszy, najśladniejszy ptaszek, którego świergotu zapragnął posłuchać sam Stwórca...”

Płonąca świeca odbija się na ciemnej szybie migotliwą siatką, w którą za chwilę wpadnie kremowa ćma próbująca się przebić przez szkło. Myśl królowej tnie szybę jak diament... i ćma wpada do komnaty, ale zaraz chowa się w głowie Cecylii Renaty, jakby tam szukała innego światła, jaśniejszego od wszystkich świec i lamp, wygarniającego z mroku przeszłość i przyszłość.

Krucze, przeźroczyste, mozaikowe skrzydła trzepocą i rozrywają złotą mgłę, więc królowa „widzi” to, co jest zakryte przed wzrokiem ludzkim i ziemskim...

Kto jeszcze czai się w mrocznym kącie, jak chybotliwy cień, który boi się oderwać od ściany?

Skrada się nieśmiało, idzie krok do przodu i znowu cofa... Kuli głowę w ramiona jak przestraszone dziecko, choć nosi na tej głowie polską koronę, a na piersi ma dwugłowego orła z rubinów i brylantów, dar Karola V.

Taka młodziutka, a ubrała za ciężką dla niej i za poważną czarną suknię!

W pęknięciach bufiastych rękawów i przy gorsie widać białą koszulę szczelnie zasłaniającą szyję. Gdyby nie czerwone rękawiczki wyglądałaby jak w żałobie!

Ćma pamięci wygarnia z płataniny wspomnień imię: Isabetha... Isabetha... Elżbieta?

Czy to jest ta, która miała przedłużyć dynastię Jagiellonów? Zdradzona i odtrącona przez męża. Chora. Samotna. Słaba. Zawstydzona nad wszelkie wyobrażenie, kiedy król-mąż gwałcił ją na łożu ustawionym w komnacie odwiedzin, prawie w obecności dworzan i gości.

Bawił go i podniecał jej wstyd? A może mścił się za to, że nie jej pragnął, nie za nią tęsknił?

Dygotała i dzwoniła zębami, kiedy zupełnie nagiej kazał odwracać się, pochylać, przyginać w pozach tak dla niej okropnych i wyuzdanych, że o tym, co z nią robił, nie mogła wiedzieć nawet Katarzyna Hozelin, jej najulubieńsza i zaufana powiernica.

Jakże zahukana dziewczynka, bledziutka i prawie bez biustu, mogła dorównać w miłosnym kunszcie dojrzałej i prześlicznej Włoszce, której wystarczyło oblizać pełne wargi, a król już płonął, albo wojewodzinie Gasztołtowej uważanej za najpiękniejszą *magna maretrix Lithuaniae*?

Ona miała dopiero siedemnaście lat i myślała głównie o tym, żeby się najeść do syta słodkich pomarańczy i parmezańskiego sera, żeby się naskakać, nachichotać z dwórkami i być blisko czarnowłosego mężczyzny, którego przeznaczono jej na męża prawie od kołyski i który teraz jej nie chciał!

Despotyczna i niezwykle surowa matka zabiła w niej wszelką śmiałość; wiecznie głodna i zastraszona Elżbieta wyrosła na istotę kruchą i łamliwą, porównywaną przez poetów do polnego maku drżącego i gubiącego płatki przy najmniejszym wietrze.

Płynęła w niej krew najpotężniejszych władców Europy. Powinna być za to szanowana jak żadna przed nią i żadna po niej!

Śliczna i pełna uroku była przy tym łagodna, delikatna i dobrze ułożona, a jednak gardzono nią i upokarzano, dopuszczano się wobec niej podłych szykan i znieważano. Bez skrupułów korzystano z tego, że się nie broni!

Isabetha Regina... Regina?! Drżała ze strachu na widok teściowej, nie śmiała się odezwać, upomnieć o swoje, pokazać, że polska królowa zrodzona z rzymskiego króla zasługuje na należne traktowanie...

Cecylia Renata bardzo jej współczuje.

– Podejdz bliżej – prosi, ale szary cień zaczyna coraz mocniej drgać, miotać się, podskakiwać, przewracać, aż rozrywa się w strzępy, plamiąc ścianę jak sadze... Już ledwo widać cztery szlifowane diamenty w złotym pierścieniu i wielkie perły na weneckim birecie, spod którego wyglądają jasne warkoczki zaplecione w ciasne koszyczki.

Trzeba ją zatrzymać, żeby nie zapomniano o Elżbiecie, córce Ferdynanda króla rzymskiego, węgierskiego i czeskiego, bratanicy cesarza Karola V i żonie

Zygmunta Augusta – króla polskiego i wielkiego księcia litewskiego. Zanim się rozpełźnie jak poranna mgła, próbuje Cecylii Renacie coś powiedzieć samym tchnieniem gorącego oddechu, który liże ucho królowej jak palący płomień:

– Zostaną po nas obu nagrobki w wawelskiej kaplicy... Miną dziesięciolecia, potem wieki, a my będziemy tam spały w marmurowych sarkofagach, przez które nic się nie przedostanie; nie skapnie na posadzkę żadna nasza łza... żadne westchnienie nie poruszy gładkiego kamienia.

Będziemy żałośniejsze niż owady uwięzione w bursztynie. W przezroczystej trumnie z żywicy widać chociażby ułamane skrzydło, pokruszoną nogę albo zarys muszli; przez nasze nagrobki nie przeniknie nic!

O tym, jakie byłyśmy, zdecyduje kronikarz. Napisze nam życiorysy, oceni uczynki, postawi krzyżyk przy pierwszej i ostatniej dacie, spinającej nasze życie jak klamerka.

Nic tam jednak nie będzie na przykład o słowikach, które w czerwcowym bzie śpiewały od wczesnego zmierzchu.

Tylko ja wiem, jak śpiewały...

Pod murami wileńskiego zamku rosła gęstwina liliowych, białych i amarantowych kiści pachnących tak słodko, że słabłam od ich zapachu... Od tego zaczynał się atak wielkiej choroby!

Oszalamiający zawrót głowy... aż do pierwszego dreszczu! Odgarniałam go od siebie rękami, nogami, całą sobą! Brakowało mi powietrza, więc, żeby się nie udusić, zaczynałam się trzepotać jak ryba wyciągnięta na brzeg!

Raz za razem, od czubków palców do karku i pięt szedł wrzący dreszcz, który otwierał mnie na oścież; wszystko ze mnie wypływało... kończyło się i zaczynało od nowa... do omdlenia! Trzeba było mnie później myć, zmieniać koszulę, opatrywać zadrapania.

Król nie mógł na to patrzeć! Brzydził się i bał, więc uciekał ode mnie, a za nim jechały kolasy zapchane kurwami, na które nie szczędził sił i pieniędzy!

Wstydziałam się i chowałam w podmokłych zakątkach ogrodu, gdzie przekwitały dzikie konwalie. Ich śnieżne kieliszki u dołu łodygi rdzawo usychały; za to te u samego szczytu były nadal czyste i świeże; cudownie odbijały swą nieskalaną biel od niebieskich, drobnych niezapominajek i kaczeńców o płatkach jak polerowane złoto. One też mocno pachniały, a nawet dzwoniły, jakby były ze szkła i metalu!

Więc zaczynałam się znowu bać, bo wiedziałam przecież, że kwiatów nie można usłyszeć i czułam ten lęk w mrowiących palcach, w gardle, w żołądku, między nogami. Słyszałam także karcący głos matki – wielkiej królowej ukochanej przez męża i poddanych. Wtedy już nie mogłam się przestać trząść ze strachu. Widziałam jej nadmiernie szczupłą, długą twarz i wypukłe, okrągłe oczy o białych tęczówkach.

– Czarny chleb – mówiła surowo – tylko czarny chleb i kwaskowe wino! Nie ma lepszego lekarstwa na każdą chorobę! Urodziłam piętnaścioro dzieci, więc wiem najlepiej, jak z nimi postępować... różga, dyscyplina i karność w pierwszym rzędzie!

Szepczący cień blednie i topi się na ścianie, ale przy tym tak drży, jakby miał rozerwać stare mury, więc Cecylia Renata każe je podtrzymać, żeby się nie zawaliły i nie pogrzebały jej za wcześnie, jednak z białych warg wydobywa się tylko niewyraźny szept.

– Królowa majaczy – taki komunikat leci przez zamkowe komnaty i korytarze, przygotowując dwór na jej odejście.

Jednak ona wie, że musi przyjąć jeszcze jedną wizytę, więc pozwala, żeby kruche, owadzie skrzydła wydobyły z mgły w jej głowie starą kobietę tak niezwykłą, że musi minąć trochę czasu, zanim królowa przyzwyczai oczy do tej dziwnej figury w cynobrowej sukni i czepku płaskim jak naleśnik.

Patrzy na wąską, długą twarz, wypukłe, sowie oczy i na dolną wargę, na której płasko leżą wystające górne siekacze.

„To jest okropne. Okropne i wstrętne... – myśli królowa – nigdy nie widziałam takiego brzydactwa!”

Staruszka jest niewysoka i nieszczupła. Głowę przekrzywiła na prawe ramię i od razu widać, że całą sylwetkę ma zdeformowaną; może nawet leciutko utyka?

Nie nosi klejnotów ani korony, a trzewiki wystające spod spódnicy wyglądają na liche i znoszone. Jednak bije od niej taka duma i godność, że od razu wiadomo, kto stoi przy łożu.

To Elizabeth von Habsburg; wnuczka cesarza, siostra i żona królów, matka trzynaściorga dzieci, w tym czterech monarchów i jednego świętego!

Przygląda się uważnie Cecylii Renacie, a potem omiata bystrym wzrokiem wszystkie królowe zgromadzone wokół niej. Niczego nie przegapi. Wie, czego która nie dopatrzyła i czym się zasłużyła. Ocenia je nie jako kobiety szczęśliwe lub nieszczęśliwe, lecz jako władczynie, których obowiązkiem było przede wszystkim wzmacnianie dynastii!

Ale umierającą królową nie obchodzi dynastia! Jest po kobiecemu ciekawa kobiecych spraw, więc strzepuje z siebie pytania jak złoty kurz:

„A ty znasz rozpacz po stracie dziecka? – wysyła do wielkiej monarchini szepczącą myśl. – Chcesz płakać, a w oczach popiół zamiast łez; szczypie, piecze, pali... Czujesz, że ślepniesz, że przed tobą tylko noc! Wiesz, jak gryzie zazdrość o niewiernego męża, kiedy nie ma się komu pożalić, bo cię nie lubią w obcym kraju, dokuczają ci, dopiekają obmową i kpina... Strasznie się boisz trucizny, przekleństwa i czarów, więc umierasz z lęku... powiedz, znasz takie chwile?”

Płakałaś wtedy? Nienawidziłaś? Modliłaś się? A może chowałaś się w łożu i pod kołdrą czekałaś, aż zło minie?”

Tylko ona, na chwilę przed ostatecznym przejściem do innego życia, może pozwolić sobie na taką niedyskrecję wobec matki królów. Jej wolno!

Stara władczyni uśmiecha się pobłaźliwie. Wzdycha. Spod obszernego kaftana z futrzanym obszyciem wyciąga ornat z miękkiej, lejącej się tafty i proste

pudełko wypełnione jedwabnymi nićmi.

Wszystkie królowe zebrane wokół łoża słyszą, jak Elizabeth pochylona nad haftem opowiada o sobie, osiemnastoletniej, przerażonej i upokarzanej do łez.

Wspomina, że miał być ślub. Wtedy się dowiedziała, że narzeczony jej nie chce, że przed nią ucieka, chowa się, rozpacza. Silny mężczyzna, władca wielkiego państwa podobno płakał na myśl, że musi z nią płodzić dzieci, spółkować, jadać przy jednym stole. Wzdrygał się z obrzydzenia, a usłudźni wrogowie donosili jej o każdym słowie przyszłego małżonka, który nie mógł przemóc wstrętu do narzeczonej.

Gdyby nie jej stalowy charakter i opieka przyszłej teściowej, kto wie, co by się z nią stało.

– Kobieta może nie patrzeć w lustro; może nawet zapomnieć, że ono istnieje... ale co ma robić, kiedy swoje odbicie widzi w oczach innych i te oczy jej mówią, jaka jest paskudna?

Naucz się być dumna! Kiedy się zegniesz, patrzą na ciebie z góry; ja, nawet garbata, zawsze byłam wysoka. W podartym płaszczu, brzydka, chora, opuszczona znalazłam coś, co mnie uratowało: pochodzenie!

Na haftowanym ornacie zakwitają kolejne lilie, kołyszają się, kłaniają i Cecylia Renata już nie wie, czy to one mówią dalej, czy słyszy cichy głos Elizabeth z wyraźnym, twardym, znajomym *rrr...*

Mówi, że Kazimierz Jagiellończyk był na szczęście mądrym politykiem, który potrafił kalkulować i wiedział, co mu się opłaca, więc kardynał Oleśnicki namaścił i koronował brzydką księżniczkę na polską królową.

– Mąż mnie w końcu polubił, bo byłam mądra, zdrowa i płodna. A ja nauczyłam się być jak szkatuła na klejnoty; ważne w niej to, co w środku.

Wstyd i rozpacz wróciły, kiedy siedem lat później na Wawel zjechała prześliczna, czarująca, inteligentna, pełna wdzięku Zofia, żona szczecińskiego księcia Eryka, i król Kazimierz dla niej zwariował!

Kłęcząca u jego kolan i pokornie błagała, żeby wybaczył zdradę stanu jej wiarołomnemu małżonkowi, który dla korzyści majątkowych przedłożył Krzyżaków nad dobro Korony. Przysięgała, że brzydząc się tym grzechem, od dawna nie dopuszcza Eryka do swego łóża, nie mogąc znieść myśli, że ona i jej synowie mogliby być „przedmiotem urągowiska”!

Jednocześnie przewracała błękitnymi oczami, szlochała, pochylała się i wyginała tak uroczo, że widać było jej prosty, giętki kark, szczupłą talię i pełne, kształtne piersi. Myślisz, że łatwo mi było słuchać, jak mój małżonek lamentuje, że nie ona dzieli z nim łóżę? Myślisz, że nie cierpiałam? Słyszał to cały dwór, ale w mojej obecności nikt nie śmiał nawet pisnąć o tej sprawie... Zresztą, przeszło, minęło, jak wszystko na tym świecie.

Nauczyłam się, że najwięcej ciepła dają kobiecie piece. Duże, z pięknych kafli, grzejące miło i równo, kiedy sama chcesz! Im można zaufać, są jak wierne psy; za tłustą, smolną kłodę wrzuconą do ich brzucha przez długie godziny będą ci mrużyć strzelającymi iskrami.. Trzeba sporo przeżyć, żeby poza wygodą starych kości już ci na niczym nie zależało; błogosławiony, święty spokój, nawet nie wiesz, jakie to ważne!

– Szczerze płaczę nad tobą... moja Elżbieta miała rok, kiedy ją kładłam do trumny, więc znam i taki ból... lekarstwem – modlitwa!

Słuchaj i powtarzaj za mną: *Omni die dic, Mariae... mea laudes anima: eius festa, eius gesta cole devotissima... tua festa, tua gesta qui colunt alacriter.*

Elizabeth von Habsburg cicho szepce słowa hymnu i kiedy mówi ostatnie *Amen*, trzepocąca się ćma w głowie królowej powoli cichnie, uspokaja się, zastyga w bezruchu...

Przy łóżu królowej robi się pusto. Świece się dopalają, tylko zegar w sąsiedniej komnacie wybija godzinę za godziną, przerywając ciszę.

Dobry i miłosierny sen przychodzi do niej, kiedy noc prawie się kończy,

a malinowo-złote niebo na wschodzie zapowiada pogodny, miły dzień.

ROZDZIAŁ DRUGI
– DZIEŃ DRUGI

Cecylię Renatę budzi gwałtowny skurcz.

Twardy jak kamień brzuch wydaje się jeszcze większy; jest w nim wystarczająco dużo miejsca dla stu gorących sztyletów, którymi od środka zaczyna ją kroić jakiś niewidzialny kat!

Policzki królowej płoną od gorączki: na przegubach bezsilnych dłoni, na skroniach, nad obojczykiem pulsują błękitne żyły; coraz szybciej i szybciej, i mocniej...

Pod wielkim łóżem na pewno rozpalili ognisko! Żar przenika przez grube materace, pali krzyż, kark, uszy... piecze, ach, jak piecze... królowa zaczyna szlochać, bo nie może wytrzymać tego gorąca!

Poci się i paruje; kołdra, poduszki, podkłady, ręczniki – wszystko pływa w oleistej, maziowatej wodzie. Panny z fraucymeru zmieniają pościel, trzepią, wycierają, ale nie słyszą, że ona błaga tylko o lód! O wielki kawał lodu pod stopy, które płoną jak dwie żagwie.

Chce także lodu na głowę; jeśli go nie dostanie, cała zmieni się w gorącą, kleistą kaszę i już nie będzie umiała się zmusić, żeby z siebie wypchnąć dziecko... Prawda, dziecko! Trzeba urodzić dziecko!

Królowa przytomnieje i pozwala, żeby ją przewracali z boku na bok, żeby jej masowali brzuch, kładli na boki jakieś mokre płachty; na wszystko pozwoli, choć wie, że to nic nie pomoże.

Niech robią, co tylko chcą, żeby jak najszybciej przyszedł koniec tej męki.

Dostaje pić.

Czuje zapach mięty, rumianku oraz szaławii – czarodziejskiej i dobrej na wszystkie choroby. Jej wąski, długi nos łapie jeszcze jakąś nieuchwytną woń,

która ją zawsze oszołamiała w kościele, kiedy biały dym okadzał ołtarz i monstrancję.

„Mirra – myśli – pewnie mirra... Panu naszemu najmilszemu też dawali mirrę” – majaczy. Po zaklęśniętych skroniach płyną łzy, ale ból się uspokaja, odchodzi, cichnie... daje spokój jej umęczonemu ciału.

Teraz królowa jest lekka i szczęśliwa. Odpoczywa. Drzemie, płacząc strzępy obrazów, które przesuwiają się w jej nieprzytomnej głowie.

Śni, że obok niej leży król, ale jakoś niewygodnie, przygniatając jej lewe ramię, a potem już całe ciało. To nie jest przyjemne, więc królowa próbuje się przesunąć, odgarnąć od siebie jego brzuch i nogę, ciężkie jak kłody. Nie ma siły, więc zostaje z tym ciężarem...

Nagle, gwałtowny podmuch wiatru otwiera okno i do sypialni wdziera się chłód, zadymka śnieżna, grad i w tej lodowatej zawierusze głowę i serce Cecylii Renaty przeszywa myśl, że w kącie stoi kołyska, a w niej, na pewno głodny, bo zapomniała go nakarmić, chłopiec... Czyba – chłopiec?...

Królowa nie wie tego na pewno, ale czuje, że musi się uwolnić od kamiennego ciężaru męża i biec, ratować marznące dziecko!

Niestety, nie może tego zrobić, bo mężczyzna jej nie puszcza. Nie śpi; jest świadomy, co robi, nawet się złośliwie i kpiąco uśmiecha, więc królowa krzyczy, wrywa się, szamoce, aż wreszcie, w tym śnie, zaczyna wymyślać najokropniejszymi słowami, jakich nigdy nie słyszała, ale skądś je zna.

Skąd? One są w niej od zawsze, właściwie od wtedy, kiedy poczuła pierwszą złość na męża; od kiedy musiała, a było to niedługo po zaślubinach, siedzieć przy jego łożu, słuchając narzekań i jęków.

Była wtedy taka młoda! Ciekawa tego mężczyzny, o którym mówiono, że jest czarujący i miły, że potrafi znaleźć słowa trafiające i do prostego żołnierza, i do wielmoży... umie żartować, zna czule słówka, a jego czarowi nikt nie potrafi się oprzeć.

Cała Europa podziwiała młodego władcę i jego naukowe pasje.

To przecież on zamówił u Galileusza aż trzy zestawy soczewek do lunety. Jemu słynny Giovanni Ciampoli ofiarował swoje pióro i testamentem przekazał wszystkie uczone rękopisy!

Vladislaus Rex tak pięknie opowiadał o latającym smoku zbudowanym i ożywionym przez człowieka. Mówił, że nie potrzeba czarów, aby ten skrzydlaty jaszczur wzniósł się w powietrze, pod same chmury...

Król w to wierzył, a przy nim i ona wierzyła, choć inni śmiali się z szalonych projektów machin do latania i widzieli w tym diabelskie monstra!

Patrzył na nią wypukłymi oczami o jasnoniebieskich tęczęwkach i szeptał ciepłym, niskim głosem

– Wasza królewska mość nie wątpi w prawdę moich słów, jak przystało kochającej małżonce? Choćby wszyscy się odwracali, Wasza królewska mość będzie obok, zawsze ufająca i zgodna, czy tak?

Och, wiedziała przecież, że nie ma między nimi miłości!

Cecylia Renata nie pamięta, czy w ogóle myślała o kochaniu. Gdyby tak było, jakiś ślad tych myśli drzemałby w niej i osłaniał serce przed żalem, że nikt nie chciał jej uczucia, że miała być tylko spadkobierczynią wielkiej prababki Elżbiety Tyrolskiej, która urodziła dwadzieścioro dzieci, wiernie służąc mężowi i dynastii.

Cecylia Renata знаła imiona wszystkich kandydatek do polskiej korony, które podsuwano Władysławowi z tysiącami pokus i obietnic!

Były wśród nich Szwedki: Maria Eleonora i zwariowana Krystyna, i Włoszka Katarzyna, i siostrzenica angielskiego króla Karola I, i hiszpańska infantka Maria Anna, i Maria Gonzaga de Nevers, ale Władysław zawsze chciał szwedzkiej korony, więc ojciec Cecylii Renaty sprytnie nacisnął ten guzik...

Wszystko obiecał; i sto tysięcy florenów posagu, i zaległe sumy za matkę i macochę polskiego króla, i, przede wszystkim, poparcie pretensji do szwedzkiej

sukcesji! Sam dostał o wiele więcej!

Władysław obiecał, że poprze starania Ferdynanda III o tron cesarski, tym samym rezygnując z własnych ambicji. No i sprytny cesarz Ferdynand II przehandlował córkę – nieładną, nieśmiałą dwudziestosześcioletką, której groziło staropanieństwo...

Biedna królowa! Nawet teraz rumieni się ze wstydu, że obiecane pieniądze nigdy nie zostały wypłacone, a marzenie Władysława o szwedzkim tronie rozwiąło się jak dym!

Pamięta, jak sztychli, że nie dostała posagu, że na pośmiewisko innych europejskich dworów przysłali ją z prawie pustymi skrzyniami wyprawnymi, bez własnego powozu, że brakowało jej nawet koszul i pantalonów!

Może dlatego mąż patrzył na nią wrogo?

Wiedziała, że ma kochanki, że trwoni wielkie sumy na dogadzanie rozpuście. Po kilkakroć sto tysięcy rozdał nierządnicom, a skąpił na dwór królowej. Znosiła to, chociaż ciężko jej było myśleć, że po komnatach kręci się rosły, krzepki młodzieniaszek, o którym gadają, że starosta bełdański Rafał Kostka przygarnął go jako królewskiego bastarda!

Kąciki dawniej wesołych ust królowej, uniesionych w miłym uśmiechu, opuszczały się i zaciskały, aż wreszcie przybrały kształt smutnej podkowy. Markotna, nieurodziwa, wiecznie chora nie mogła konkurować z biodrzastymi damami o cieniutkich taliach i obfitych piersiach wyglądających z wysoko sznurowanych gorsetów!

Panna Eckenberg mówiła, że one po prostu podnoszą spódnice i oddają się królowi, gdzie i jak chce! Że są śmiałe w pieścizotach, tak jak król lubi, i że nie wahają się swawolić z nim we dwie, a nawet i trzy!

Królowa na myśl o tym czuje ciepłą falę pełzającą od krzyża do dołu brzucha. Czuje, jakby nabierała powietrza: jeszcze i jeszcze... jest już taka pełna, że za chwilę pęknie, albo się udusi! Z ogromną ulgą przyjmuje mokre ciepło,

które zalewa jej nogi... Na szczęście nie widzi, że woda z pękniętego pęcherza płodowego jest aż czarna od smolistego brudu.

Wszyscy zgromadzeni wokół łoża rodzącej królowej wiedzą, że dzieje się coś złego, ale ona sama jeszcze ma nadzieję, choć jej myśli rwą się i mącą.

– Wezwijcie Oelhafa – majaczy. – Niech tu przyjdzie, niech ratuje...

Nawet jej nie tłumaczą, że słynnego doktora już od roku nie ma na świecie. Krzątają się przy niej. Rozcierają lodowate nogi przypominające sinawe kłody. Medyk w białym czepcu z długimi, płóciennymi uszami kręci głową:

– Niedobrze! Królowa jest bardzo słaba. Pali ją gorączka... wszystko w rękach naszego Pana, ale prawie nie ma nadziei...

Znowu dają jej pić, tylko teraz odwar jest gorzki, pachnie ostro, nieprzyjemnie i piecze w język. Zamiast pomóc wywołuje ciemne torsje szarpiące wątłym ciałem królowej raz za razem, przez kilka godzin.

Dwukrotnie trzeba zmieniać dopalające się świece, aż wreszcie Cecylia Renata ponownie czuje parcie na brzuch, tuż nad spojeniem łonowym. Wstrzymuje powietrze i jak umie pomaga swojemu ciału zrobić to, co zrobić musi... a musi się uwolnić, wyrzucić z siebie to ciepłe, bezwładne, przewalające się; więc przyciska wystającą brodę Habsburgów do obojczyków i pozwala wypłynąć strudze gorącej, żywej krwi... wytryskuje ona tak gwałtownie, że medyk ledwo zdąży chwycić białe, bezwładne, martwe dziecko, które z sobą niesie!

Mija dziesiąta godzina marcowej nocy. Zbliża się Wielki Czwartek; dwudziesty czwarty dzień miesiąca. Pada gęsty, ciepły deszcz, który spłucze ostatnie ślady zimy.

Królowa zmordowana porodem i oszołomiona ziołami śpi mocno.

Przestała narzekać na ostry ból głowy. Wydaje się spokojna i zdrowsza.

Po raz pierwszy w życiu wygląda naprawdę pięknie.

Patrzący na nią i oswojeni z umieraniem wiedzą, co to znaczy...

Cecylii Renacie śnią się suknie.

Pierwsza jest uszyta z cieniutkiego adamaszku w kolorze rezedy.

Wyglądała w niej cudownie, chociaż bladozielony, mieniący się materiał mógł być niebezpieczny dla cery. Ale szwaczki obramowały suknię ciężkim, gniecionym aksamitem w odcieniu miodu, pasującym do rudawych włosów i skóry białej jak kość słoniowa.

„Jakież to niezwykle połączenie barw! I ta szeroka, srebrzysta koronka przy dekolcie, jakby uszyta z mokrej pajęczyny! Ach! Gdyby jeszcze raz ubrać się w taką suknię, założyć perłowy naszyjnik i bransolety na obie ręce. Jeszcze raz zobaczyć w wysokim lustrze młodą, ładną kobietę, z cieniem rumieńca na policzkach i drobnymi loczkami wokół szczupłej twarzy!

Zrobić półobrót, wyginając się na prawo i lewo, żeby sprawdzić, jak układają się fałdy na biodrach. Postukać obcasami i usłyszeć ten miły, żywy dźwięk lekkich kroków na posadzce... gdyby jeszcze raz!”

Druga suknia jest jak pognieciony płatek dzikiej róży. Królowa uśmiecha się filuternie, bo już prawie zapomniała, że kiedyś tak głęboko odsłaniała piersi. Rękawy ma koronkowe, ściągane w trzy bufki, zakończone szerokimi mankietami wycinanymi w trójkąty. Do tego diamentowa egreta w ciemnych lokach... Tak ubrana towarzyszyła królowi podczas koncertu Małgorzaty Catanei śpiewającej w sali widowiskowej na zamku. Była szczęśliwa, bo wtedy właśnie odkryła radosną tajemnicę: po raz drugi miała być matką!

Królowa próbuje się poruszyć; otwiera oczy, a spojrzenie ma bystre, przytomne, rezolutne. Szare oczy, które błyszczą od gorączki i są podobne do kawałów polerowanej stali albo kropli rtęci, omiatają komnatę, wyraźnie kogoś szukając.

Ale tego kogoś nie ma, więc źrenice Cecylii Renaty znowu gasną, mętnieją, chowają się pod powieki.

Przypomina sobie suknię czarną.

Nie lubi jej, chociaż jest bardzo wytworna i bogata. Głęboką, aksamitną czerń

rozjaśniają kokardy w kolorze burgunda... a może błyszczącej purpury, którą tak chętnie noszą dostojnicy Kościoła... Przypominają one wielkie storczyki przypięte do rękawów i szerokiego paska. Ze środka rozety podkreślającej szczupłość talii wygląda wachlarzowato ułożona przypinka z olbrzymich pereł... W ciężkim, misternie rzeźbionym łańcuchu, usianym ametystami, rubinami, topazami, co parę centymetrów płonie wielki szmaragd, zachwycająco zielony i łapiący światło.

„Gdyby nie ta biała peleryna, w której wyglądam jak stara mniszka! – kaprysi. – Koronki są wprawdzie cudowne, sprowadzane wprost z Brugii, ale na tej śnieżnej bieli moja twarz jest żółta, a plamy ceglanych rumieńców wcale jej nie zdoabia!”

Zapomnieć o niej, zapomnieć; przywołać inne wspomnienia; ćma w głowie królowej znowu trzepie się gorączkowo, wygarniając z ciemnych kątów niepamięci inne obrazy...

Staje teraz przed nią dumna i radosna dama w przepięknej, złotej sukni ślubnej.

„Czy to jestem ja? – Cecylia Renata nie może uwierzyć, że tak niedawno było w niej tyle ufnej wiary. – Czy to na pewno ja?”

Arcyksiążę Leopold prowadzi ją do ołtarza w wiedeńskim kościele św. Augustyna. Jest cesarz Ferdynand III i trzech elektorów: wirtemberski, saski i brandenburski. Uśmiecha się życzliwie urodziwa arcyksiężna Klaudia Florentyna, która za kilka dni wyruszy z nią do Polski.

Złota suknia szeleści na marmurowej posadzce i migoce w świetle kolorowych witraży. Z pianistej kryzy wyłania się jej głowa, jak kwiat obsypany rosą brylantowego diademu.

„Ja odejdę, a one zostaną i będą żyły beze mnie – myśli królowa. – Kto będzie wiedział, w której z nich byłam wesoła, a w której smutna i chora? Którą zakładałam chętnie, a którą z udręką w duszy?”

Kogo ja obchodzę? Rodzice dawno nie żyją; brat, wielki cesarz, stara się w zawierusze wojny trzydziestoletniej ratować Niemcy i polityczną pozycję Habsburgów, więc nie ma czasu na głupstwa; siostra, kochana, czuła i wierna, musi myśleć o swoich sprawach... Kto mi został?"

Cecylia Renata płacze z żalu nad sobą.

Zgromadzeni wokół łoża widzą te łzy, zbierające się w zakłęśniętych skroniach i spływające na mokłą poduszkę, ale nie wiedzą, jak ją uspokoić.

Kogo potrzebuje jej niespokojne serce i czyją dłoń chciałaby poczuć na swojej? Ma do tego prawo dane jej powagą Kościoła Katolickiego, który połączył mężczyznę i kobietę, dopóki „...śmierć ich nie rozłączy”.

„Jeszcze żyję, cierpię, jestem... Dlaczego więc nie ma przy mnie mojego królewskiego małżonka?! Mam prawo życzyć sobie, aby tu był, a nie mam ani siły, ani odwagi, żeby to wykrzyczeć!”

Potrzebuje tego mężczyzny o bystrych, rozumnych oczach, w których nigdy nie zobaczyła zachwyty, ani czułości. Nie kocha go, ale nie jest mu wrogiem.

Lojalna, niemiecka żona polskiego władcy, odchodząc z tego świata, pragnie, żeby on ją docenił!

Królowa myśli, że jej życie przeminie jak obłok, który tylko przez chwilę rysuje na błękitnym niebie swój zmienny byt. Dopóki jest, buduje jakieś kształty, zamki, góry, ptaki i drzewa, a już za chwilę niebo zostaje czyste i jasne, bo obłok gdzieś zniknął, i nie wiadomo, co się z nim stało.

„Nawet te czarne, burzowe mijają i, jak tylko wyjdzie zza nich słońce, nikt nie pamięta, że w ogóle były... a o szarych, co nic nie zmieniają w pogodzie, to i szkoda gadać! Ja byłam taka szara i przepłynę jak dym...”

Wspomina, jak jej nie lubili, że Niemka, że dewotka, że mało urodziwa! Podejrzewali, że połowa jej dworu to cesarscy szpiedzy. Mieli jej za złe nawet to, że walczyła o swój honor i nie pozwoliła, żeby tuż obok niej gziła się z królem ta ladacznica Łuszkowska.

Odetchnęła, kiedy ją wyrzucił z zamku i, choć podobno jeździł do Merecza nie na polowania, ale żeby tamtą spotykać, królowa postawiła na swoim!

Od tego się zaczęły jej choroby i nieszczęścia.

Zawsze mówiła, że Łuszkowska to czarownica i że ma na usługach wszystkie litewskie szeptuchy, ale król tylko się śmiał albo złościł. Do kamienicy tej więdźmy przy lwowskim rynku przychodzili zielarze i alchemicy, którzy warzyli trucizny dla królowej. Kto je później podawał? Tego Cecylia Renata nie wie, ale jest pewna, że tak właśnie było.

Wszyscy wiedzą, co się wydarzyło w Długach, gdy królowa nagle straciła władzę w ręce... straszny ból i paraliż wygiął jej długie palce i szczupłe przedramię, a okropny dreszcz poszedł aż do barku. Pomogła szczerą modlitwą do Maryi i do świętego Walentego, dobrego patrona epileptyków i wariatów. Odtąd Cecylia Renata zawsze nosiła przy sobie malutki wizerunek ułomnego biskupa z Ternii, prześladowanego i zamęzonego za wiarę.

Wiedziała, że diabeł w tym maczał pazury! W zamian za urodę i miłość króla służył tamtej, wykonując jej paskudne rozkazy! Król Władysław markotniał, kiedy mu wytykała konszachty kochanki z siłą nieczystą, i wyśmiewał te „brednie i banialuki”.

– *Qui non credit diabolem, non credit deum* – odpowiadała, budząc jeszcze większy gniew małżonka.

Nauczyła się ciągle trzymać dwa palce na ustach, wierząc, że w ten sposób zamyka drogę czarciemu jadowi. Niektórzy przedrzeźniali i wyśmiewali ten gest, ale królowa była ostrożna.

Próbuje sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek między królem a nią działo się dobrze i przyjaźnie. Wydłubuje z pamięci wszystkie miłe godziny i ogląda je uważnie, żeby zrozumieć, dlaczego tak szybko minęły.

„Gdyby nie polityka – myśli królowa – gdyby nie rozgrywki, pretensje, dąsy o Pomorze Zachodnie, o klęskę marzeń króla, który pragnął morskiej potęgi dla

Rzeczypospolitej, o pozycję polskiego króla w Europie, gdyby nie to, może wszystko by się ułożyło inaczej?...”

Myśl królowej leci do gorącego i burzowego sierpnia 1638 roku...

Ossoliński, Pac i Sobieski namówili króla Władysława do podróży.

Po klęsce wojsk cesarskich w Nadrenii świeża dla polskiego władcy zaszczytna nadzieja na to, że stanie się mediatorem pokoju w Europie. Tylko nowy cesarz Ferdynand III mógł mu w tym pomóc, a cesarz to przecież szwagier króla, więc mimo oporu hetmana Koniecpolskiego orszak królewski ruszył do Wiednia!

Niby jechali do Baden, na kurację... królowi dokuczały nerki i pęcherz, nieustannie jęczał, pocił się w puchowych piernatach, a jeszcze kazał się okładać ciepłymi prześcieradłami. Po bezsennych nocach miał podpuchnięte oczy i palce tak nabrzmiące, że nie dało się na nie wcisnąć żadnego pierścienia. Jadł mało, a i tak cierpiał na wzdęcia i kolki. Dręczyła go melancholia i złe przeczucia. Był opryskliwy i tak marudny, że nikt nie przejmował się jej zdrowiem, choć miała powody, by się niepokoić o swój los i przyszłość Korony!

Czuła ucisk w dole brzucha, miesięczne krwawienia zamieniały się w czarne skrzepy plamiące koszule i wywołujące pulsujące bóle głowy. Była słaba, mdliło ją po posiłkach, a każdy kęs jedzenia smakował jak twardy rzemień albo drewno.

Wieczorami królowa zwierzała się podróżującej z nimi szwagierce z trapiących ją zmartwień. Już dwa razy myślała, że jest w ciąży... potem wracał lęk, że mogą być prawdziwe plotki o niemocy króla, któremu podobno hiszpańska febra odebrała moc spłodzenia potomka!

I jeszcze to pokrewieństwo!... Wierzyła w siłę papieskiej dyspensy, poza tym dla niej, Habsburżanki, małżeństwa bliskich krewnych nie były niczym nadzwyczajnym, ale strach nie pozwalał jej spać i czynił podróż jeszcze uciążliwszą.

Pragnęła dziecka.

Chciała dać królowi następcę i w ten sposób umocnić swoją pozycję na dworze, ale też wyobrażała sobie, jak weźmie to maleństwo w ramiona, jak je przytuli, dotknie ustami gładkiego policzka i maciupieńkich rączek... Nigdy nie czuła takiej spokojnej słodyczy, jak wtedy, gdy przychodziły do niej te marzenia.

W każdym śnie trzymała w ramionach niemowlę. Opierała policzek o małą główkę z miękkimi, pachnącymi włoskami, nuciła jakieś kołysanki, całowała pyzate policzki i krótki nosek... Przebudzenie w pustej komnacie było jak skok w przerębiel. Czuła lodowaty dreszcz i strach...

Później było tylko gorzej.

Lał deszcz, królowi dokuczał reumatyzm, ale bardziej go bolała obojętność i lekceważenie ze strony szwagra.

– Nie po królewsku mnie tu przyjmują – narzekał, a ona wiedziała, że ma rację! Ich komnaty były ciasne i ciemne; król Władysław i przy stole, i w karecie nie zajmował honorowego miejsca należnego gościowi, cesarz był uprzejmy, ale obojętny i oficjalny... było jasne, że nie zamierza poważnie traktować roszczeń polskiego władcy!

Polska królowa, z domu Habsburżanka, o mało nie zemdląła, kiedy zobaczyła, że jej szwagierka, dumna cesarzowa Maria nie schodzi z wysokich schodów na powitanie gości!

Stała tam, patrząc z wysoka na Polaków, zupełnie jawnie podkreślając przepaść i dystans dzielące oba dwory! Takiej obrazy nie można było zapomnieć!

Więc Cecylia Renata musiała później pokazać całemu cesarskiemu dworowi, jakie są prerogatywy polskiej wolności! Kazała przynieść krzesła dla kasztelanowej sieradzkiej, sandomierskiej i marszałkowej wielkiej koronnej i sama stała tak długo, aż tamte nie usiadły, pomimo że cesarzowa usilnie ją namawiała, by wreszcie zajęła swoje miejsce.

– My z królem – powiedziała z mocą – tak wielce cenimy sobie posłuszeństwo i miłość naszych poddanych, że nie okazujemy wyniosłości.

Cieszą się naszym szacunkiem, są wolni i w zamian za takie traktowanie otaczają nas najwyższą czcią.

Pobyty w Austrii miał i swoje jaśniejsze strony, ale już do końca nie dało się zatrzeć pierwszych niemiłych wrażeń.

Cecylię Renatę ze strony cesarskiego brata spotkał także osobisty despekt.

Na Morawach podczas uroczystego spotkania władców lało tak strasznie, że trzeba było szybko uciekać przed nawałnicą. Cesarz zaprosił ją do karety, jednak, łamiąc etykietę i wszelkie wcześniejsze umowy, wsiadł do niej pierwszy... Przed nią, polską władczynią, swoją siostrą, gościem i kobietą!

Przełknęła obrazę jak twardą kluskę. Nie miała innego wyjścia, bo prawie cały ciężar wizyty spoczywał na niej. Król nie opuszczał swojego pokoju. Ona siadała do obiadu z cesarską rodziną, ale to były ciężkie i przykre godziny.

Cierpiała, bo nic od niej nie zależało. Była tylko tłem dla cudzych ambicji i pragnień, nikt się z nią nie liczył – może dlatego, że stała po stronie narodu, którego tutaj nie rozumiano i który lekceważono.

Ale czy można się było temu dziwić, skoro sama umierała ze wstydu, patrząc na pijanych Polaków awanturujących się podczas pożegnalnej uczty.

„Znowu ten Kazanowski, drań i opój – myślała. – Przez niego cesarz mógł powiedzieć „pijane, polskie świnie”, widząc, jak tłuką się z Ossolińskim i jak roztrącają oburzonych i przestraszonych Niemców.”

Rzuciła się między nich, nie zważając na powagę korony! Albo, może właśnie, dla powagi korony zaryzykowała własną powagę i dumę.

Pamięta obrzydzenie na twarzy cesarza! Była wściekła i obrażona. Czuła solidarność z tym narodem, którego właściwie nie znała, ale chciała i musiała stać po jego stronie.

Czy król to docenił?

Nie docenił!

Był zajęty obliczaniem wielkich kosztów wizyty i prezentów wręczanych

cesarzowi.

– Po com tu przyjechał? – narzekał. – Moi żołnierze giną za nieswoje sprawy. W Polsce mnie oskarżają, że dla Habsburgów zrywam sojusze z Francją, że szlachcie chcę odebrać swobody, że marzy mi się dziedziczny tron! Takiej opozycji jeszcze nie miałem! I po co? Dla austriackich ambicji?

Wykonywał jakieś nieważne, śmieszne gesty, żeby okazać swoje oburzenie. Przyjął cesarza, leżąc w łóżu, i nie wstał nawet do obiadu. Potem ją wypytywał, co cesarz mówił i w jakim był nastroju, ale rozmawiał z nią niezyczliwie, obco...

Cecylia Renata wspierała męża. Ale i tak wrogowie oskarżali ją o manipulowanie królem, o wykorzystywanie jego słabości i o to, że buduje na dworze swoją polityczną koterię i gromadzi dochody, rozdając stanowiska; biedna królowa; oszczędna, przewidująca i konsekwentna była oskarżana o skąpstwo, lisi spryt, oziębłość i upór!

Była poważna, rozsądna i dumna, ale jej powagę brali za oschłą surowość, dumę za pychę, rozsądek za oziębłość charakteru, a życzliwą ciekawość ludzkich spraw za wścibstwo i wtrącanie się w cudze życie...

Wychowali ją w hiszpańskiej etykiecie, nauczyli, że władcom należą się szczególne i wyjątkowe prawa, a jednak ona umiała pojąć zasady szlacheckiej demokracji i jakoś się do niej dopasować.

Przynajmniej bardzo się starała...

I po co, skoro po powrocie do kraju król i tak wyrywał się do Merecza, gdzie czekała piękna starościna Wypyska. Królowa błagała, żeby został, ale nigdy nie posłuchał!

Nie doczekała się ani jednego cieplejszego słowa, ani jednego „dziękuję”. Biedna Cecylia Renata musiała się pogodzić z tym, że i dla króla i dla dworu zawsze będzie obca!

Wtedy nauczyła się chodzić od okna do okna – szybko, nerwowo, całymi godzinami...

W Europie wojna paliła i niszczyła dostatek prawie wszystkich krajów. Siała choroby, śmierć, bezprawie, zamieniała ludzi w zdziczałe zwierzęta, tysiącami umierające od szabel, kul żołnierskich i epidemii.

Tylko Polska kwitła, zachwycając cudzoziemców dostatkami i spokojem. Licznie przyjeżdżali na królewski dwór. Uczyli się gospodarować, zakładać warsztaty tkackie, wykorzystywać masową migrację ludności, handlować i bogacić, na przekór złej koniunkturze.

Jednak król nie był zadowolony... jego natura żołnierza gnuśniała w pokoju, potrzebowała zwycięstw na bitewnych polach. Projektował odzyskanie Inflant i Szczecina. Chciał siłą upominać się o Śląsk... ale głównie śnił o szwedzkiej koronie!

Na świecie był już prawie trzyletni Kazimierz Zygmunt, więc było dla kogo tak się starać.

Cecylia Renata pamięta, kiedy wszystko się skończyło!

Nie udał się chytry plan wciągnięcia Moskwy do wojny o Inflanty. Szwedzi pokonali Danię, a wojska cesarskie nie miały zamiaru uczestniczyć w tej awanturze...

Misterny polityczny plan króla Władysława zawalił się z hukiem i pogrzebał wielkie marzenia. To był koniec jego pięknych snów!

Królowa nie chce już tego wspominać. Wzdycha, kręci głową, szukając wygodniejszego miejsca na poduszce i odpędza złe myśli jak stado kurcząt: sio, sioo...

Potem otwiera oczy i długo patrzy na płomień świecy, aż pod jej powiekami zaczyna wirować, rosnać i jarzyć się złota chmura pawich kół małych i dużych, zachodzących na siebie, nakładających się jedno na drugie, kołujących jak w szalonym tańcu. Wśród nich fruwa i ona, w sukni najważniejszej, ślubnej, prawdziwej, założonej dwunastego września 1637 roku.

Od samego rana było wtedy parno.

Słońce pływało w szarobłękitnym niebie jak w roztopionym ołowiu. Królowa modliła się, żeby nie spadł deszcz i żeby ceglastobure chmury na horyzoncie nie przyniosły burzy.

W połowie Krakowskiego Przedmieścia ustawiono wielki namiot, w którym czekał na nią król ubrany w biało-błękitne szaty podkreślające jego jasne źrenice i bladoróżową skórę. Był poważny, chmurny, wyraźnie niezadowolony; miał taką minę, jakby chciał powiedzieć: „uciekłbym stąd, gdzie pieprz rośnie, gdyby to było możliwe!...”

Tłumy oglądały czerwoną karetę Cecylii Renaty, ozdobioną srebrnymi orłami. Sześć białych koni pomalowanych do połowy na czerwono posuwało się bardzo wolno, w straszliwym kurzu i spiekocie niezwykłej jak na tę porę roku! Prawie poniosły, kiedy rozległa się salwa na wiwat z kilkunastu muszkietów. Karetę się zachwiała, zakołysała, przechyliła i właśnie wtedy ten zwarty tłum zatrzymał przerażone zwierzęta!

Król niczego nie zauważył, chociaż gołębie, skrzecząc i furkocząc skrzydłami, wzbiły się białą chmurą, dając znak, że coś się wydarzyło!

Ona pomyślała, że czuwa nad nią dobry Bóg, więc nie ma się czego bać!

Biała suknia z najdelikatniejszego atłasu zajmowała całą karetę. Dół fałdzistej, bardzo szerokiej spódnicy zdobił szlak haftowanych złotem niezapominajek i gałązek mirtu ułożonych w girlandy. Między nimi migotały diamentowe i perłowe ognie, wszyte tak umiejętnie, że kiedy królowa szła do ołtarza, wyglądała, jakby stąpała po rozjarzonej słońcem wodzie...

Jakaż była wtedy szczuplutka, jak cienka w pasie!

Jedwabna szarfa podkreślała jeszcze wiotkość jej figury; diamenty we włosach i uszach odbijały się w szarych oczach i rozjaśniały twarz rozbieloną barwiczką z muszli. Aż klasnęła w dłonie, kiedy zobaczyła się w olbrzymim lustrze. Uważała, że jest ładna i że może się podobać, więc zaskoczył ją chłód w oczach małżonka i lekki, zimny uścisk ręki na powitanie.

Tylko królewicz Jan Kazimierz uśmiechał się do niej serdecznie i szczerze, ale on nic nie znaczył; był tylko kłopotem polskiej korony i przedmiotem wielu ciężkich zgryzot królewskiego brata.

Królowa postanawia, że pomyśli o nim później: teraz, jeszcze raz wraca do sukni, która tak miło ją chłodziła śliskim i gładkim dotykiem podczas weselnej uczty na zamku.

Poplamiała wtedy gorset winem. Czerwone krople trysnęły na śnieżny atłas i nie dały się zetrzeć. Wyglądały jak rozerwany naszyjnik z rubinów, nieregularnych i różnej wielkości. I znowu przesądna Cecylia Renata pomyślała, że to znak, więc szybko zmówiła modlitwę do Najświętszego Imienia Jezusa, prosząc o odwrócenie złego losu.

Jak to było? Chce sobie koniecznie przypomnieć te słowa, które ratowały ją w chwilach najcięższych zwątpień. Teraz, nie od razu chcą się odnaleźć w głowie, płonącej od gorączki, ale wreszcie przychodzą i od razu układają się w trwożne błaganie.

– ...od wszelkiego złego, od grzechu każdego, od gniewu Twego... – królowej wydaje się, że modli się wystarczająco głośno, aby słycać ją było w Królestwie Niebieskim, ale nawet Tekla Łaska czuwająca przy swojej pani prawie z policzkiem przy policzku, widzi tylko, jak drgają jej białe usta.

Tekla jest pewna, że Cecylia Renata nie przeżyje nocy.

Przez długie godziny wpatruje się w twarz królowej i słucha jej oddechu, ale tuż przed zamglonym i wilgotnym świtem i ona zasypia skulona na twardym krześle. Czuwają dwie zakonnice i medyk, jak zwykle ukryty za kotarą, ale gotowy się pojawić przy łożu na każdy najlżejszy szmer.

Jest tak cicho, że słycać, jak o szyby rozbijają się grube krople wody ociekającej z nadokiennych wykuszy i śliskich, czarnych gałęzi drzew.

ROZDZIAŁ TRZECI
– DZIEŃ TRZECI, OSTATNI...

Pierwszy różowy brzask oświetla ręce królowej i budzi je do życia.

Przez ostatnie godziny leżały bezsilne i nieruchome, a teraz biegają po kołdrze, skubią adamaszkowe liście i płatki tłoczone na gładkim materiale, zwijają je, wygładzają i gniotą... są zajęte jakąś pracą, której sens jest znany tylko im, oderwanym od reszty ciała, w swej niespodziewanej aktywności.

Królowa ma piękne ręce.

Są wąskie, smukłe w nadgarstkach, palce mają niezbyt długie, ale ładnie zakończone łagodnym, migdałowym owalem paznokci.

Wydają się silne i zręczne, kiedy tak drżą w gorączce, otwierają i zaciskają, próbują coś chwycić i przytrzymać, a potem znowu leżą bez ruchu, odpoczywając na miękkiej pościeli.

Od rąk zaczyna się budzenie królowej: porusza ramionami, odwraca głowę w lewo, w prawo, wydaje się, że za moment ziewnie, przeciągnie się, a potem, jak zwykle oparta o poduszki usiądzie, prostując i wygładzając wstążki czepka.

Ale ona tylko otwiera oczy – na razie przelewające się pod powiekami szarą mgłą, ale zaraz potem przytomniejące i bystre.

Wydaje się zdrowsza.

Chce pić. Prosi o kawałek placka przekładanego słodkim twarogiem utartym na puszystą masę, ale zjada tylko malutki kęs, resztę każe odłożyć na później... Trzeba jej zmienić koszulę i przez chwilę widać kościste plecy z wystającymi łopatkami i małe piersi, o prawie niewidocznych, jasnożółtych sutkach. Widać także, jak jest piegowata, całe przedramiona i dekolt wyglądają tak, jakby ktoś obsypał je grubymi ziarnami piasku!

Przez ostatnie trzy dni bardzo schudła, ale, o dziwo, wygląda młodziej

i ładniej. Ten wstający poranek jakoś szczególnie odszukuje w niej wszystko, co miłe i wdzięczne.

Wszyscy widzą, jaki królowa ma ciepły i nieśmiały uśmiech; aż chce się dla niej coś zrobić, żeby się tak uśmiechała.

Ten uśmiech jest także w oczach Cecylii Renaty, chowa się pod jej wygiętymi rzęsami, które dzisiaj również wyglądają na dłuższe i ciemniejsze.

Wystająca broda wydaje się mniejsza i bardziej foremna, a mocne rumieńce każą wierzyć, że wraca zdrowie i że wszystko dobrze się skończy!

Ale ci, którzy są bardzo blisko, nie mają złudzeń; królowa pachnie śmiercią...

Taki zapach unosi się nad kwiatami, które zbyt długo stoją w niezmienionej wodzie. Zastygły w swoim pięknie; trudno pojąć, że przy najbliższym dotknięciu posypią się z nich płatki i dopiero wtedy będzie widać, że tylko pozornie były aksamitne i świeże... w rzeczywistości, ich krawędzie wyschły, spopielwały, straciły kolor, są stare i martwe!

Ale najwstrętniej i najżałośniej wyglądają oślizgłe łodygi, zbutwiałe i pokryte pleśnią. Cuchną tak wstrętnie, że nikt nie żałuje minionej urody roślin, pragnąc je jak najszybciej wyrzucić na śmietnik, zakopać, spalić, usunąć...

Dwórki z fraucymeru królowej, ciche mniszki, energiczna ochmistrzyni, doktor Cnoeffel... wszyscy wiedzą, że Cecylia Renata odchodzi, dołącza do korowodu Polek, Niemek, Litwinek, Węgierok, które jak cienie przesuwały się przez trony, katedry, ołtarze, królewskie łoża, w cichej posłudze kobiet, będących filarami i ofiarami dynastii.

Dzień jest pogodny i bez wiatru.

Komnata królowej, uprzątnięta po nocy i toalecie Cecylii Renaty znowu jest świeża i przytulna. We wszystkich rogach wielkiego łoża palą się świece, bo królowa czeka na księdza z wiatykiem, pragnąc jak najszybciej włączyć się w mękę i zmartwychwstanie Chrystusa. Ona, tak głęboko i szczerze wierząca chce ofiarować swoje cierpienie za Kościół, za polską koronę i za małego syna,

który kiedyś będzie ją nosił.

Z wielkim trudem odmawia chrzcielne wyznanie wiary. Czeką, aż do komnaty wejdzie ulubiony i pobożny Marek Noelius, bo zapomniała, że od pół roku nie ma go wśród żywych. Wydaje się jej, że to on namaszcza ją olejami, więc przyjmuje komunię świętą pokornie i z wielką ufnością.

Kiedy czuje na języku słodki smak wina, nagle przypomina sobie kłębek pozornie martwych włókien i korzeni podobnych do opuszczonego, ptasiego gniazda.

„Co to było? Po co przychodzi do mnie ta dziwna roślina widziana kiedyś wśród naturalistów, w cesarskim Kunstkammerze? Na moich oczach brązowa, uschnięta kula zmieniała się w pierzaste, jasnozielone cudo zachwycające swą zdolnością przechodzenia ze śmierci do życia!

A może i ja jestem taką zmartwychwstanką? Więdnę, kurczę się, marnieję, gniję, ale to nie jest koniec! Podniosę się. Rozprostuję kości. Zamiast spalającego mnie ognia poczuję w żyłach ciepłą krew i rozwinę się, jak ten zdumiewający i niezwykły kwiat...”

Królowa nie pyta o dziecko. Wie, że go nie ma.

Myśleli, że nieprzytomna z gorączki nie słyszy, jak się naradzają, czy powiedzieć królowi, że jego córka urodziła się cała w sinych, martwiczych plamach i z nieforemnie spłaszczoną głową. Chciałyby się zapytać, czy go to obeszło, ale jest skryta, ostrożna i nieśmiała. Nie umie rozmawiać o tym, co czuje. Jest również dumna, więc nie pokaże swego cierpienia.

Woli znowu zamknąć oczy i udawać, że śpi.

Zastanawia się, o czym zapomniała, czego nie zdążyła jeszcze przemyśleć i starannie poukładać jak motki błyszczącego jedwabiu do haftowania w ozdobnym pudełku. Zawsze bardzo to lubiła! Przykładała do siebie kolor zielony i pomarańczowy i widziała, że doskonale pasują, bo takie były nasturcje rosnące na ogrodowej rabatce.

Albo ciemnoczerwony i seledynowy... albo różowy i szary...

Pani Glucke, jej opiekunka, kręciła głową.

– Więcej elegancji i umiaru – radziła. – Taka swoboda i dysharmonia może być niebezpieczna. Na cesarskim dworze nie jest dobrze widziana malarska maniera. Władcom przystoi ład, również w kolorach i proporcjach!

Ale Cecylia Renata pokazywała naganną samodzielność, upierając się, że w cudownych lasach, łąkach i polach Bawarii najlepiej widać, jak wielkim artystą jest Bóg, który plącąc kolory i odcienie pewnie chce, żeby człowiek Go naśladował.

Dlatego jej pudełko z nićmi do haftów wyglądało jak wesoła tęcza ułożona w równiutkie, porządne paski: purpura, fiolet, indygo, błękit, zieleń, żółć, biel. Kiedy je pomieszała albo przeplotła w szaloną kratkę, chciało się jej śmiać i biegać po długich korytarzach i ogrodowych alejach, a nawet podskoczyć jak psotne i wesołe dziecko.

Więc zacznij od czerwieni... gorącej, pulsującej, namiętnej, przejmującej dreszczem na widok młodego pułkownika wojsk cesarskich, dwa lata od niej starszego, a już słynnego z szaleństw i dziwactw.

Nie bardzo go w Wiedniu lubiano.

Dwór huczał od plotek o jego zwariowanych eskapadach do najpodlejszych lupanarów. Ze zgrozą opowiadano o tym, że woli małpy zamiast ludzi, że w jego komnatach plączą się rozmaite monstra i karły, że potrafi całe dni spać albo trawić długie godziny na grzesznej beczynności.

Jeszcze wówczas nie wiedziała, że to będzie jej szwagier i że poprowadzi ją do ołtarza, zastępując swego starszego, królewskiego brata!

Podobał się jej, pomimo wyraźnych śladów po ospie na bardzo śniadej twarzy. Był wysoki i ciężki; poruszał się jak drewniany kłoc, ale tańczył zgrabnie i z wdziękiem, a na polowaniach nie miał sobie równych.

Interesował ją ten skryty, nieufny mężczyzna, który nagle, ni stąd, ni zowąd,

bez żadnej przyczyny potrafił się głośno roześmiać, a zaraz później gasł i zamykał w ponurym milczeniu.

Ale najbardziej obchodziło ją, dlaczego taki zdolny i pełen możliwości wynikających z pozycji i pochodzenia marnuje wszelkie szanse i budzi lekceważący wstręt wśród pracowitych, wykształconych i godnych szacunku Niemców. Dlaczego się nie stara, żeby go lubili?

Cecylia Renata oddałaby wiele za sympatię i szacunek innych, więc nie mogła pojąć, dlaczego jemu na tym nie zależy. Patrzy na świat sennymi oczami, jeszcze bardziej wypukłymi niż u Władysława IV, głośno ziewa i nie odpowiada na pytania...

Chciałaby go obudzić, poprawić, wychować na nowo! Czują, że byłoby to jej miłe, nawet gdyby miała mu poświęcić resztę życia.

Jakże zazdrościła baronównie Gullenstern! Ona umiała sprawić, że ospałe serce Jana Kazimierza biło mocniej. Myślała, jak dumna i wyniesiona ponad inne musi być kobieta kochana tak gorąco i czule!

Aż się rozchorowała, kiedy król Władysław zmusił baronównę do niechcianego i pospiesznego małżeństwa odbierając Cecylii Renacie radość podglądania miłości. Ona, tak lubiąca swatać i kojarzyć pary, wiedziała o wszystkich dworskich romansach; nie można jej było zrobić większej przyjemności ponad wiadomość, że mały Kupido znowu znalazł cel i wypuścił miłosną strzałę. Czują się wówczas tak błogo i miło, jakby cudze szczęście spłynęło także na nią.

Ile to razy, z wypiekami na policzkach, słuchała miłosnych zwierzeń wielkiego marszałka Sapiehy zakochanego w prześlicznej Włoszce Scrolli albo młodego podkomorzego litewskiego Janusza Radziwiłła, który ruszył w koperczaki do panny Katarzyny Potockiej.

Od plotek i awantur trząsł się wtedy cały dwór wplątany w tę miłosną intrygę!

Królowa świetnie pamięta, że dobroduszny podkomorzy poprosił swego starego krewniaka, Albrychta Stanisława, o pomoc w konkurach. Było wiadomo, że Janusz kalwin, i że panny nie dostanie, ale mało kto przewidział, że stary książe poproszony o swaty zechce młodego krewniaka wyprowadzić w pole i sam się żenić z panną Katarzyną!

Cecylia Renata była taka dumna, że król małżonek poprosił ją o pomoc w rozplątaniu tego supła! Miał ochotę przytrzeć nosa staremu Radziwiłłowi, więc biedna królowa naradzała się z całym fraucymerem, jak trzymać stronę Janusza.

Matka panny marudziła, zwlekała z decyzją i co rusz zmieniała zdanie! Raz chciała młodego, raz starego! Królowa była wtedy taka podniecona, zadowolona, ożywiona, pewna siebie! Jej czułe i dobre serce pragnęło, aby zatriumfowała miłość!

Dopiero teraz zastanawia się, czy na pewno o miłość chodziło, skoro na młodziutką Kasię nikt nie zważał, a nawet Janusz gadał tylko o swoich racjach i ambicjach!

„Dobry Boże – myśli królowa – co to za świat, w którym robią z nami, co tylko chcą? Niedźwiedzica, wilczyca, łania, a mogą wybierać ze stada, a my... Władczynie czy zwykła szlachcianka musi iść za tego, który znaczniejszy, albo bogatszy. Dwory, rody, dynastie, korony są ważniejsze niż serce i dusza kobiety. Grają nami, jak chcą. Mają za nic nasze potrzeby i chęci, ani nasz śmiech, ani płacz ich nie obchodzą!”

Po raz pierwszy w życiu królowa ośmiela się tak odważnie myśleć.

Zawsze łagodna i posłuszna, przyjmująca z pokorą wszystkie zadania, jakie przed nią stawiano, nie wie, że to, co czuje, nazwać można buntem i złością.

Nie złości się i nie buntuje świadomie, tylko jeszcze dokładniej przypatruje się wszystkiemu, co przeżyła i co do niej wraca.

Nie będzie więc uciekała przed wspomnieniem, które do teraz leżało przysypane wstydem i wyrzutami sumienia.

Jest ono ciemnofioletowe i miękkie jak irysy pokryte aksamitnym meszkiem u nasady płatków. W głębi kwiatowego kielicha widać czarne kreski, ślad diabelskiego paznokcia, bo królowa jest pewna, że on ją wtedy opętał...

Postanawia, że jeszcze raz przywoła w pamięci te straszne i słodkie minuty, za które później leżała krzyżem w zamkowej kaplicy.

Tamtego dnia najpierw długo spacerowała po galerii w północno-wschodnim skrzydle, słuchając zwierzeń Jana Kazimierza, który niedawno przyjechał ze swego Nieporętu. Kochał się wówczas w młodej, prześlicznej Francuzce pannie Duvet. Namiętnym szeptem opowiadał królowej o urodzie dziewczyny, o jej gwiaździstych oczach i giętkiej, długiej szyi, o pełnych, białych piersiach i zdobiących je muszkach którymi figlarnie dawała do zrozumienia, że jest mu przychylna. Mówił, że trawi go ogień miłości, a królowa wręcz fizycznie czuła ten płomień, który również ją rozpałał.

„Szczęśliwa jest kobieta, która budzi taki żar; choćby biedna i ostatnia, ale ma skarby większe od bogactw sułtana!” – myślała.

Na pożegnanie Jan Kazimierz długo tulił w swoich gorących, silnych rękach dłoń szwagierki i przyciskał do ust jej palce. Cecylia Renata nigdy dotąd nie czuła takiego dreszczu i podniecenia. Bała się, że słychać jej walące serce... Nie mogła oderwać oczu od jego twarzy; w mroku wieczoru nie było widać śladów po ospie, wydawał się królowej urodziwy, a dłonie miał takie palące, tak pasujące do jej małych, zgrabnych rąk! Tej samej nocy, z samego dna piekła przyszedł do niej sen!

Królowa musi zebrać całą odwagę, aby nie odgonić od siebie słodczy, jaką wtedy czuła.

Wie, że znowu grzeszy, ale musi zobaczyć, co się wtedy stało i ocenić swoją winę.

Była silna i piękna. Wciągał ją szalony wir, a ona się wcale nie broniła... kołowała, okręcała się, leciała w górę i w dół. Widziała kiedyś płonący pergamin

unoszony wiatrem, trzepotał tak samo jak jej serce!

Mężczyzna przy niej był trochę jej mężem, trochę szwagrem, a trochę diabłem! Miał ciemną, lepłą skórę, a ona się do niego kleiła i nie mogła się oderwać... dokoła nich latały jakieś iskry albo padał gorący deszcz, bo kiedy się obudziła, dygotała i była mokra.

Nigdy dotąd tak wyraźnie i słodko nie czuła, że ma piersi zakończone twardymi sutkami, że ma łono, które otwiera się jak kwiat; wolno, wolniutko, płatek po płatku, a wszystkie płatki drżą i proszą, błagają, żeby ich dotknął ten mężczyzna, żeby je muskał, a nawet gniótł i rwał dłonią albo ustami.

Królowa szlocha, jakby ktoś ją skrzywdził... Rzeczywiście, czuje się skrzywdzona, bo to, co się działo w jej śnie, zdarzyło się po raz pierwszy i, jest tego pewna, nigdy, przenigdy się nie powtórzy!

„To z nieba, czy z piekła przychodzi taka słodycz?” – myślała, bojąc się zamknąć oczy, żeby „to” nie wróciło...

Już wtedy nie zasnęła. Przeleżała do świtu z kolanami pod brodą, w mokrej koszuli, przerażona i nieznajdująca słów, jakimi mogłaby przeproszać Stwórcę, że nie umiała poskromić swego grzesznego ciała.

Obiecała, że je ujarzmi modlitwą i postem. Wiedziała, że dotrzyma słowa.

Kiedy była dzieckiem, uwielbiała słodko-cierpką galaretkę z czarnego bzu, chociaż inni mówili, że piecze w język i jest gorzka; kiedy ją podawano, królowa nie mogła pohamować łakomstwa.

Jadła do syta, a wszystko w niej łagodniało, cichło, uspokajało się... I gdyby nie wyrzuty sumienia, że jest taka słaba wobec pokusy, byłyby nasyciona i szczęśliwa.

W tym szaleńczym śnie też się cała zanurzyła w miękką, pachnącą, ciepłą masę, chłoneła ją w siebie, zagarniała, ssła, pragnąc jeszcze i jeszcze... aż poczuje w brzuchu rozkoszny ciężar, jak po smacznym i sutym obiedzie.

„Byłam głodna kochania i dlatego tak się stało – myśli. – Mój grzech to

siadanie z pustym brzuchem nad pełnym talerzem... Nie powstrzymałam apetytu.”

Myśl o jedzeniu każe królowej zobaczyć świat w kolorze żółtym, bo takie są dojrzałe gruszki leciutko brązowiejące przy ogonku i dynia, którą ona bardzo lubi, choć uważa się, że jest mdła i bez smaku.

Królowa myśli, że teraz zjadłaby zupę z dyni doprawioną pręcikami szafranu, z zacierką i złotymi skwarkami. Chciałaby, żeby ją podano w białych talerzach ozdabianych granatowo-złotym, cesarskim szlaczkiem.

Do tego byłyby chrupiące, pszenne grzanki, gorące i wilgotne od topiącego się na nich żółciutkiego masła, które pachniało jak nic na świecie!

W kryształowych kompotierkach lśniłaby galaretka z pigwy, którą królowa smażyła własnoręcznie z arcyksiężniczką Anną Marią. Obie bardzo lubiły ubierać się w białe fartuchy i przesuwac ciężkie, mosiężne rondle na rozgrzanej płycie, pod którą buzował czerwono-złoty ogień. Wszystko było wtedy tak zwyczajne i miłe, jak już później nie było nigdy i nigdzie.

I wino! Koniecznie wino! Miałoby kolor złotawej słomy i świeciłoby jak poranne, majowe słońce w cieniuseńkich kielichach, dzwoniących przy najbliższym dotknięciu.

Byłyby również ogromne, prawie pomarańczowe renklody z zastygłymi koralikami miodu i nadzwyczajne czereśnie, z jednej strony kremowe, z drugiej zaróżowione jasnym, błyszczącym rumieńcem.

Cecylia Renata chciałaby jeszcze raz poskubać ciemnozłote aksamitki, zerkające brunatnym oczkiem z białego wazonika ozdobionego porcelanową koronką. Lubiła ich smak niepodobny do niczego, co znała: gorzkawy, korzenny, cierpki... Jest prawie pewna, że po takim jedzeniu poczułaby się lepiej, szczególnie wtedy, gdyby byli przy niej ci, których kocha... I gdyby znowu trzeba było mrużyć oczy przed wesołym słońcem tańczącym na śnieżnym obrusie wśród błysków kryształu i srebra.

Królowej Cecylii wydaje się, że w tej pogodniej, miłej godzinie, którą przywołała myślą i sercem, jest przy niej król, jej małżonek i, jak nigdy dotąd, patrzy na nią troskliwie i z czułością!

Zawsze taki zajęty sobą, utyskujący, marudny nie narzeka na ból chorej nogi, nie syczy, nie jęczy, nie stęka...

Wprawdzie przynieśli go w lektyce obutego w futrzany pantofel, ale siedzi cichy i wyraźnie zmartwiony.

Królowa już nie rozpoznaje, czy znajdują się oboje w jej sypialni, czy na podwyższeniu, w sali jadalnej, wśród najbliższych gości. Wie, że król jest smutny, więc pragnie go rozweselić i pocieszyć.

Wprawdzie nie ma między nimi zgody w tysiącu spraw, ale w jednej pasują do siebie, jakby byli z tej samej gliny, więc królowa słyszy muzykę, którą oboje kochają, ale nie wie, w jakim kolorze ma o niej myśleć?

„Błękit? – myśli – chyba błękit łagodnie przechodzący w zieleń...” Jest on nie do opisania, jak niezmierny ocean szumiący i śpiewający wiatrem.

Musi sobie przypomnieć coś, co widziała w takim błękitcie i co ją zachwyciło.

No, tak... Suknia Matki Boskiej na obrazie Lorenza Lotta! Gładzona leciutkim powietrzem pogodnego, letniego dnia ma w sobie taki spokój i bezpieczeństwo, że chciałoby się położyć głowę na kolanach Maryi i zostać tam na zawsze!

W zieleni jest muzyka całego świata; są piękne głosy ludzi i ptaków, słychać w niej dzwonki ogłaszające, że Pan pojawia się wśród wiernego tłumu zebranego w świątyni, dźwięczy w niej śmiech szczęśliwych dziewcząt i kwilenie niemowlęcia... brzęczą w tej muzyce pszczoły i najpiękniejszy szelest liści spadających z gałęzi po pierwszych przymrozkach.

W błękitcie i zieleni można się roztopić, rozplynać... można się w nie zasłuchać tak jak w partyturę Scacchiego do włoskiej opery wystawianej na zamku.

Cecylia Renata kochała operę i teatr!

Pamięta, że zaledwie rok temu, w lutowe zapusty król przyklasnął jej szalonemu pomysłowi: postanowiła, że ubrana w spódniczkę do kostek i szeroko sznurowany gorsecik wystąpi w baletowym przedstawieniu razem z Anną Konstancją, która miała grać rolę trzpiotowatego pazia.

Przymierzała teatralne stroje, ale żaden się jej nie podobał. Chciała wyglądać pięknie i niezwykle, więc kazała szyć, pruć, dopasowywać, a w końcu sama wymyśliła taki kostium, który zachwycił nawet króla Władysława.

Na trawiastozielonym jedwabiu przszyto girlandy różowych kwiatów; gorących, mocnych, soczystych, jak rozwijające się pąki szlachetnych jabłoni. Do tego błękitny fartuszek z szeroką koronką i biała peruka z anglezów posypanych złotym pudrem. Od gładkich, białych pończoch mocno odbijały czarne, atlasowe wstążki sznurowane na krzyż i podtrzymujące płaskie pantofelki. Żadnych klejnotów!... Tylko przy wycięciu stanika jedna, mocno pachnąca, amarantowa róża.

Nie można jej było nie zauważyć, bo w tym kostiumie lśniła szmaragdowo, srebrzyście i złociście, jak dziki kaczor w godowym upierzeniu!

Na co dzień taka cichutka i trzymająca się na boku, taka wstydliva i niepewna zmieniała się nie do poznania, kiedy na scenie udawała kogoś innego.

Była tak zachwycająca i pełna wdzięku, że król po przedstawieniu odwiedzał ją w sypialni, pewnie szukając tamtej kobiety, którą mógłby kochać i podziwiać.

Ale ona gasła, kiedy zdejmowała teatralne szmatki. Więc król był zły, że tak się dał nabrać, i miłosny akt stawał się krótką, męczącą, niemą próbą splodzenia kolejnego dziecka.

„Jak one miały być zdrowe – myśli królowa z rozpaczą w sercu – skoro myśmy byli chorzy z tego nielubienia siebie, z jego wrogości i z mojego strachu?”

I muzyka nie pomogła... chociaż, kiedy wznosił się srebrny głos fletu,

a harfa towarzyszyła mu ciepłym i miękkim pluskiem, w królowej była cisza i spokój. Locci tak mądrze wymyślił balkony dla orkiestry w sali teatralnej na zamku, że słuchającym wydawało się, jakby muzyka spadała na nich wodospadową kaskadą najbardziej przejrzystych, orzeźwiających, brylantowych kropli obmywających ciało i duszę najmiłszą kąpielą.

Jak cudownie śpiewali Foster i Ferri! Polski dwór rozbrzmiewał muzyką graną przez najlepszych Polaków i Włochów. Królowa jest dumna, że i ona przyczyniła się do tego wielkiego dzieła; w końcu z własnej szkatuły nie raz płaciła Puccitellemu za libretta! Jeszcze niedawno, w czwartą niedzielę Wielkiego Postu oglądała z królem „Andromedę”, bawiąc się i śmiejąc z wesołych dialogów, chociaż przestrzegano ją, że w poście nie przystoi taka zabawa.

To były najmiłsze chwile na dworze, kiedy wspólnie z małżonkiem naradzali się nad wystawieniem nowego baletu. Szczerze podziwiała wiedzę i pomysłowość króla, który wymyślał fantastyczne światła i dekoracje dla kolejnej komedii dell arte. Skakał po rusztowaniach, budząc przerażenie pokojowców; był tak ożywiony i wesoły, że chciało się wtedy przy nim być i robić wszystko, co rozkaże.

„Poeta, uczony, muzyk, artysta, żołnierz i król życia! Taki jest ten mężczyzna, któremu mnie sprzedano za obietnicę upragnionej szwedzkiej korony, której pragnął, jak niczego na świecie –zastanawia się.

To dzięki małżeństwu ze mną wszedł do europejskiej elity. Powinien mi być wdzięczny, powinien mnie szanować choćby za to, że dałam mu następcę, może nawet powinien spróbować mnie kochać?!”

W jakim kolorze wyobrazić sobie miłość?

Królowa postanawia, że najlepszy będzie ten, który przyjmuje wszystkie inne barwy, do wszystkich pasuje, każdą podkreśla, uwypukla i ożywia...

Najlepsza będzie biel!

Z tym postanowieniem zasypia po raz ostatni snem ziemskim.

Zanim obudzi się do snu wiecznego, minie zaledwie chwila, ale królowa już inaczej liczy czas, więc dla niej rozwleka się on w długie godziny.

Śni jakąś bramę. A może to są drzwi, tylko duże, masywne... Królowa nic za nimi nie widzi, ale wie, a może tylko przeczuwa, że po drugiej stronie są jej córki. Obie! Również ta, która nie oddychała nawet przez sekundę ziemskim powietrzem, ale we śnie Cecylii Renaty jest prawie duża, śliczna, jasnowłosa, jak cherubin z mariackiego ołtarza. Ma oczy swojego ojca, bladobłękitne, z ciemniejszymi kreskami wokół źrenicy, rozumne... Uderza pulchną rączką w grube drewno, a każde uderzenie królowa czuje w sobie, pod sercem i w brzuchu, dokładnie tak jak przez ostatnie miesiące.

Druga córka królowej jest starsza, delikatniejsza, bardziej mglista i rozplywająca się, ale widać wyraźnie, że bardzo przypomina matkę!

W miłej, bladej twarzyczce już się zarysowuje mocna broda i wąskie, wklęsnięte skronie, zasłonięte kręconymi, rudawymi włosami jak złotą przepaską.

Królowa chce otworzyć drzwi, ale w tym śnie gdzieś się jej zapodziały klucze! W rzeczywistości nigdy ich nie nosiła, nawet nie wie, jak wyglądają, a teraz czuje, że powinny być stale przy niej!

Więc szuka ich, maca dookoła siebie, ale wszędzie jest tylko miękka mgła.

Otoczający łożę Cecylii Renaty widzą, jak jej ręce znowu szarpią i gniotą adamaszkowe pokrycie kołdry. Szeroko rozstawione palce zagarniają powietrze, zaciskają się w pięści i na kilka sekund nieruchomieją...

To trwa strasznie długo!

Wreszcie, jak to we śnie, w dłoniach królowej znajduje się pęk kluczy. Nie liczy, ile ich jest, tylko od razu, bezbłędnie odnajduje wśród nich ten potrzebny i nadal śniąc, ale teraz już wiedząc, że śni, zdumiewa się i zachwyca jego niezwykłym pięknem!

Nigdy czegoś takiego nie widziała!

Klucz jest duży, ale pasuje do jej dłoni tak dobrze, jakby był robiony na jej

miarę i tylko dla jej potrzeby.

Cecylia Renata widziała wiele cudownych, wymyślnych ornamentów na haftach i w oprawie klejnotów. Pracowali nad nimi wielcy artyści, ale ten, który ozdobił płaską, cieniutką głowę klucza ze snu królowej, był największy spośród nich!

Ponieważ nie umie do niczego porównać giętkich linii, próbuje odgadnąć, z czego są zrobione? Klucz jest bardzo cienki, płaski i przeźroczysty. Wydaje się być kruchy i delikatny, ale to złudzenie...

„Wygląda jak z lodu – myśli królowa – ale nie jest z lodu... mam takie gorące ręce, a on się nie topi, nie znika. Nie wiem, kto i z czego zrobił takie cudo, ale że to jest cudo, wiem na pewno!”

Bardzo powoli wkłada klucz do przepastnego zamka i w tej samej sekundzie się budzi, ale nie zapomina, jak to bywa ze snami, ani jednego obrazu, ani jednego mgnienia; wręcz przeciwnie: głośno powtarza pytania, które przysły do niej, zanim otworzyła drzwi. Wydaje jej się, że zebrani wokół łoża słyszą, co mówi, ale tak nie jest.

W komnacie panuje uroczysta cisza, wszyscy wiedzą, że dokonuje się największa zagadka bytu – przejście w drugie życie albo w nicość.

Królowa za chwilę ją odgadnie; na razie jeszcze jest tutaj i nadal pyta:

„Jakim cudem tak urosły? Są piękne, ale musiało im być źle samym... Czekwały na mnie? Płakały?... Tęskniły, tak jak ja za nimi?... Po co to wszystko się zdarzyło? Kto wymyślił moje życie, z jednej strony bogate, majestatyczne i dumne, a z drugiej liche i pełne smutku? Dlaczego musiałam iść taką drogą? Kto mnie prowadził?”

Ona, nieodrodna córka własnej epoki, na chwilę przed poznaniem tajemnicy śmierci zastanawia się, jakie było jej przeznaczenie? Czy to, co przeżyła, miało sens i czy niezawinione cierpienie jej dzieci zostało wpisane w jakiś boży plan zbawienia świata?

Gdyby tak się zdarzyło, czułaby się wyróżniona!

Jej *peregrinatio vitae* byłoby wędrówką śladami cierpiącego Boga; jest pewna, że jeśli nawet tylko się czołgała w znoju i niepewności do nieznanego kresu, może zaczynać od początku, nie zważając na ból, choroby i samotność.

„Ty, Panie, nie odmawiaj mi swego miłosierdzia – modli się królowa, leżąc tak cicho i nieruchomo, jakby głęboko spała – niech strzegą mnie Twa łaska i dobroć, a Duch Twój niech spieszy mi z pomocą...”

Pragnie wsparcia, ale już nie ma siły prosić o wspólną modlitwę, więc otaczający łożę królowej nie rozumieją, czego od nich chce.

Prawie wszystko załatwiła. Rozliczyła swoje sprawy i jeszcze raz obejrzała to, co chciała zobaczyć... prawie wszystko.

Zostały psy.

Boi się, że tam, dokąd idzie, nie ma dla nich miejsca, więc chce je pożegnać po raz ostatni.

Pierwszy jest malutki, brązowy, z gładką sierścią i uszkami w kształcie kudłatych trójkątów. Oczy ma żywe, błyszczące jak świeżo łuskane kasztany, a w tych oczach mieszka tak wierna miłość, jakiej królowa nigdy nie widziała w ludzkim spojrzeniu. Porusza się lekko i zwinnie na cienkich, samich łapkach. Pod czarnym nosem uśmiecha się psia mordka tak delikatna i aksamitna, że królowa uwielbia ją przytulać do swego policzka.

Pachnie niewyobrażalnie miło. Jego serce bije szybko i lekko, a frędzlowaty ogon umie królową przywitać i przeprosić, i rozśmieszyć!

Wie, kiedy jego pani jest smutna. Wzdycha wtedy i podsuwa łepkę do głaskania albo kładzie się na grzbiecie, pokazując delikatny i bezbronny brzuch, jakby mówił: rób ze mną, co chcesz, tylko się już nie martw. Jestem z tobą...

Nie odstępuje królowej na krok; podczas uroczystych audiencji chowa się pod krynoliną i tylko od czasu do czasu spod spódnicy wysuwa wilgotny, guzikowaty nos węszący, czy już można najdelikatniej chwycić drobnymi

zębami szczupłą kostkę Cecylii Renaty komunikując: „nareszcie koniec tej nudy! ...”

Drugi jest piękny i bardzo wrażliwy. Łatwo go obrazić lub zdenerwować. Wtedy całe jego drobne ciało, ledwo wyczuwalne pod jedwabistą, gęstą i długą sierścią, drży z oburzenia i przejęcia. Przymyka ślepka, a po czarnym, płaskim pyszczku jak srebrna rosa płyną psie łzy. Porusza się wolno, chyba jeszcze dostojniej niż najdostojniejszy władca. Je tylko wtedy, gdy nikt na niego nie patrzy, jakby się krępował, że tak pospolite uczucie jak głód dotyka także jego: psiego szacha, sułtana i cesarza!

Uwielbia leżeć na kolanach królowej. Ponieważ jest leciutki i nieduży, mieści się na aksamitnej poduszce, z której, gdy królowa trochę rozsunie uda, robi się bardzo wygodne posłanie. Nie wie, że, niestety, zdarza mu się wtedy chrapać; gdyby to wiedział, spaliłby się ze wstydu!

Kocha królową nad życie i ma mężny charakter, chociaż nie miał okazji tego udowodnić...

Jest jeszcze trzeci: trochę nieposłuszny i nieokiełznany, żywy i psotny, ale najbardziej kochany – wielki łowczy, który wytropi każdego lisa, bo jego nos o wielkich chrapach jest najczulszy na świecie.

Dostała go razem z białym, lipicańskim koniem ze stadniny koło Triestu. Jest tak aksamitnie gładki, że królowa często zdejmuje rękawiczkę, aby poczuć pod palcami tę cudowną sierść w kolorze jesiennych, klonowych liści. Ma szeroką, silną pierś, długi, wąski pysk i masywne, krótkie łapy krzywe jak sierpy i zakończone tak samo ostrymi pazurami, podobnymi do chińskiej laki.

„Czemu go wtedy nie wzięłam do karety? – myśli królowa. – Wszystko przez zaćmienie słońca, które widać było na niebie długo przed zachodem...”

Złota tarcza była jaskrawa, z pomarańczową obręczą, potem zaczęła maleć przysłaniana przez czarny talerz. Królowa pomyślała, że słońce zakłada za duży kapelusz, zsuwający się powoli na oczy, więc pewnie dlatego wszystko szarzeje

i ciemnieje, jakby zapadała nagle noc i nadchodził koniec świata! Przerażeni ludzie pierzchali jak zające, woźnica gwałtownie zaciął konie, a on, szalony i nieuważny, zaplątał się między żelazne koła i tak już został, ze zmiażdżonym karkiem!

„Jeszcze słyszę wysoki, rozpaczliwy pisk, którym wołał o ratunek – myśli. – Dali mi go na kolana, ale już był bezwładny i przelewał się przez ręce. Taki zawsze skoczny i dokazujący, leżał, popiskując jak bezradny szczeniak. Z czarnego nosa, który nagle wysechł i poszarzał, wypłynęło trochę krwi. Wtedy wiedziałam, że go nie uratuję.”

Cecylia Renata czuje łzy wzbierające pod jej zamkniętymi powiekami, ale jednocześnie budzi się w niej szelmowska wesołość.

„To by się dziwili i gorszyli, gdybym powiedziała, że w ostatnich chwilach życia opłakuję psa!”

O du trugerische Welt!

O du unbestandige Welt!

Twarz królowej wygładza się, spod oczu znikają niebieskawe cienie... wygląda tak, jakby od środka rozjaśniła ją jakaś czarodziejska lampka, może podobna do tej, którą niedawno kazała zawiesić przed głównym ołtarzem w kaplicy świętego Kazimierza?

Królowa śmieje się, a razem z nią chichocze tęga, nieładna dama, która nie wiadomo skąd, pojawiła się przy łożu.

„Ależ, nie żałuj sobie! Co cię obchodzi gadanie dworaków?”

Dama jest ubrana w prześliczną suknię z rypsu, w niezwykle bladozłotym kolorze. Narzuciła na nią długi płaszcz bez rękawów, potrójnie obszyty szeroką, karbowaną lamówką. Spod głębokiego wycięcia wylania się śnieżnobiała koszula wykończona przy szyi małą, puszystą kryzą.

Nosi długie perły, ozdobnie udrapowane na wypukłym gorsie. Jest elegancka, ale nikt nie może jej zarzucić zalotności.

Królowa dochodzi do wniosku, że gdyby nie klejnoty i kolory, dama przypominałaby mniszkę.

„Mamy taki sam rudozłoty odcień włosów... I ta broda, wysunięta jak u mnie! Jednym słowem: Habsburżanka! Tylko która?”

Natychmiast dostaje odpowiedź. Wszystko odbywa się błyskawicznie, bo myśl jest szybsza niż słowo, więc królowa porozumiewa się z gościem bez żadnych kłopotów.

„Spóźniłam się, bo z Linzu do Wilna bardzo daleko, a drogi o tej porze roku ciężkie... Jestem Katarina von Habsburg, młodsza siostra nieszczęśliwej Isabethy; będę z tobą do końca...”

Cecylia Renata nie rozumie, dlaczego właśnie ta królowa: bezdzietna, prawie rozwiedziona, oskarżana o szpiegowanie na rzecz cesarskiego dworu, ale przede wszystkim leżąca w niepochowanej trumnie przez ponad czterdzieści lat, ma jej towarzyszyć w najważniejszej podróży?

Przygląda się uważnie gładkiej, jeszcze młodej twarzy Katariny, jej dużym oczom w kolorze piwa i nieforemnemu nosowi, który wystaje z płaskich policzków jak wafel z różowej galaretki.

Spojrzenie kobiety jest żywe i bystre, zdradza niepospolitą inteligencję i silny charakter. Ale w kącikach ust chowa się kpiący, ledwo widoczny, dobroduszny i wyrozumiały uśmieszek.

„Zastanawiasz się, dlaczego ja? Odpowiedź jest prosta i zaraz ją usłyszysz:

Mam cię nauczyć wybaczenia! Zanim staniesz przed tronem naszego Pana, musisz być wolna od wszelkiego żalu, wszelkiej urazy, najmniejszej chęci odwetu... musisz być czysta i piękna po trudnym akcie odpuszczenia innym. Tylko wtedy zostaną zmasane twoje winy!”

Cecylia Renata chce powiedzieć, że nie wierzy własnym uszom, ale zanim jeszcze te słowa się jakoś w niej ułożą, Katarina znowu się śmieje:

„Słuszne, słusznie, uszom nie należy wierzyć! Przez te kawałki chrząstki,

skóry i mięsa mówi do ciebie świat, sączy w twą duszę te swoje kłamstwa i głupstwa, a ty masz słuchać głosu serca, bo tylko w nim mieszka prawdziwa mądrość!

Gdybym ja jej nie poznała, nigdy nie wybaczyłabym rodzicom, że mnie przehandlowali...

Płakali żałośnie, gdy z Krakowa przychodziły wieści od nieszczęśliwej Isabethy; a jednak zmusili mnie do małżeństwa ze szwagrem, którego bałam się bardziej niż śmiertelnego grzechu! Woleli mnie skazać na cierpienie i samotność, niż zaryzykować zbliżenie Polski i Francji, bo przecież Zygmunt August zerkał w stronę Ferrary, a i Bona sprzyjała takim sojuszom!

Miałam być cesarskim okiem i uchem na polskim dworze.

Ten chytry, mrukliwy Zygmunt szybko mnie przejrzał i znenawidził. Nie miałam żadnych szans, żeby być szczęśliwą małżonką, matką, królową, bo kazali mi okrakiem stać na dwóch tronach... musiałam się przewrócić!

Nie wybaczyłabym także bratu, że mnie opuścił! Ten okrutny świętoszek tak się bał, że może mu przepaść korona po Jagiellonach, że nawet się nie upomniał o należną mi królewską rentę!

Ale przede wszystkim, nie przebaczyłabym królowi Zygmuntowi!

Wiele razy powtarzałam, że źle jest nie mieć męża, ale jeszcze gorzej jest mieć takiego, który odtrąca żonę w chorobie...

On, bezpłodny, chciał dziecka ode mnie! Jakby nie wiedział, że rzeźączka od Diany di Cordone jest prawdziwym dziedzictwem Jagiellonów, że z zatrutego, obumierającego nasienia nic się nie urodzi!

Nawet sobie nie wyobrazasz, jaki z niego był łajdak! Mówili, że to wielki kochanek, znawca miłosnego kunsztu, najlepszy uczeń Wenery!... a on tylko zapalał się, jak smolna szczapa, a potem szybko gasł i trzeba było się napracować, żeby ten ogienek rozdmuchać na nowo.”

Katarina znowu chichocze:

„A wiesz ty, jakie król Zygmunt miał chude nogi? Żyłaste i twarde, to prawda, ale chudziutkie jak u dziecka. I sikał co parę minut; nad ranem jego nocnik cuchnął zgniłą materią... nie mogłam tego wytrzymać!

Dręczyła go melancholia; całe dni przesiadywał w komnacie obitej czarnym aksamitem i podobnej do czarnej trumny, wpuszczając do siebie tylko jakieś litewskie wiedźmy, które go poiły odwarami z ziół, żeby taki odurzony i wpółprzytomny widział swoją Barbarę! Pragnął jej, a jeszcze bardziej się bał...

Tylko ona umiała w nim zapalić ogień kochania, więc rzucał się później na dziewczki, które na to czekały poutykane w zamku przez dworaków jak rodzynki w kołaczku; wstyd się przyznać, ale czasami im zazdrościłam!

Psuły mu się zęby, miał smrodliwy oddech i słabe płuca; gorączkował, kaszłał i pluł, szczególnie nad ranem... wierz mi, niełatwo było dzielić z nim łożę, a ja, córka panującego cesarza, miałam mu być wdzięczna za tę łaskę!

A jednak, gdyby tylko chciał, zrobiłabym wszystko, żeby mnie polubił...

Był mały i niepozorny, zawsze w czarnym kaftanie, ale nawet w tłoku, wśród kapiących klejnotami i złotem wielmożów, widziało się tylko jego. Garbił się, unosił ramiona, jakby ciągle się czegoś bał lub dziwił, włosy mu wyłaziły, więc łyse placki na głowie zakrywał aksamitną czapką, ale oczy miał przepiękne: czarne, marzące, smutne... Kochałabym go, gdyby mi pozwolił.”

Cecylia Renata jest prawdziwą kobietą, więc nawet teraz musi zapytać o tę tajemniczą sprawę, może plotkę powtarzaną i w Krakowie, i w Wiedniu.

„Ale w końcu byłaś w ciąży? Naprawdę chciałaś oszukać swego małżonka i podsunąć mu obce dziecko? Byłabyś zdolna do takiego strasznego grzechu?”

Katarina von Habsburg gwałtownie czerwienieje. Jej pulchne policzki aż się trzęsą z oburzenia.

„Ciiiicho, nie mów mi o grzechu. Najstraszniejszym grzechem jest to, co robili z nami! Byłyśmy wykształcone, mądre, miłe, niektóre, jak Isabetha, zachwycaly urodą!

Kazali nam się kłaść do łóżek chorych, często zdziwaczalnych mężczyzn, którzy zarażali nas syfilisem, zdradzali, upokarzali, ośmieszali... My, posłuszne i ciche, rodziłyśmy im następców, potem umierałyśmy, żeby zrobić miejsce kolejnym i zostawałyśmy zapomniane. Po nas przychodziły inne, tak samo nieszczęśliwe i udręczone!”

Sypialnie królów kryją wiele tajemnic; znają je wszystkie dynastie świata!

Katarina milknie. Siedzi wyprostowana, postukując obcasem o obcas. Wysoko unosi okrągłą, pełną brodę. Jej wąskie palce skubią lamówkę przy płaszczu. Już prawie wypruła grubą nić i okręca ją na kciuku jak pierścień. Widać, że się nad czymś zastanawia, bo marszczy brwi, a jej dolna, jagiellońsko-habsburska warga wydaje się być jeszcze pełniejsza.

„Kiedyś wszystko się ułoży inaczej, bo zachwieją się trony i przeminą dynastie, więc nie warto się żalić i narzekać – mówi łagodnie, a potem bierze dłoń Cecylii w swoje ciepłe, gładkie ręce. Pochyla się tak, jakby ja chciała odgrodzić od dworzan zebranych w komnacie i szepcze:

„Ptak myje się w brudnej kałuży, ale kiedy się otrzepie i wysuszy, jego pióra są czyste i lśniące; więc i ty otrzep się z każdej sekundy ziemskiego życia i chodź ze mną. Boisz się?”

„Nie.”

„Możesz stąd zabrać tylko jedno wspomnienie: najmilsze i najpiękniejsze. To będzie twój bagaż. Jeden, mały tobołek na całą wieczność, tylko jeden. To ci wolno. Rozumiesz?”

„Rozumiem.”

„Obejrzyj się za siebie i zdecyduj. Przez ostatnie godziny wracały do ciebie minione lata, miesiące i dni... Teraz ujrzysz całe życie w jednym mgnieniu. Przeleci przed tobą jak jasna błyskawica...Już?...”

„Już!”

„Wszystko zobaczyłaś?”

„Tak.”

„Niczego nie przeoczyłaś?”

„Nie.”

„Czy czegoś żałujesz?”

„Niczego.”

„Więc teraz powiedz, co zabierasz?”

„Nic...”

„Nic?!”

„Nic!”

Wczesnym rankiem czarny Turnfalken budzi się, wysuwa głowę spod skrzydła i stroszy krótkie, postrzępione podgardle. Masywnym dziobem przegarnia metalicznie lśniące pióra. Kiwa długim ogonem, jakby oznajmiał: tak, tak, czas mi w drogę... Przekrzywia szyję i nasłuchuje...

Czuje zapach śmierci... przestępuje z nogi na nogę zadowolony, że może się zemścić za wypędzenie jego przodków z wieży hrabiego von Altenburg. Zginęło wówczas tylu jego braci skazanych na głód i poniewierkę. Krążyły nad murami, szukając swoich gniazd, ze zgrozą patrząc na zabijane pisklęta.

Przysięgli wtedy, że odtąd będą zwiastunami nieszczęścia rodu, więc Turnfalken rozpościera skrzydła i sprawdza, jak łapią wiatr.

Dostał zadanie... Znowu obwieści odejście kogoś z Habsburgów. Zacznie wolno krążyć nad białym Hofburgiem, budząc przerażenie jego mieszkańców. Od wieków się go boją... ale zasłużyli na ten strach!

Między dziewiątą a dziesiątą odzywają się dzwony na katedralnej wieży. Odpowiadają im te z kościoła św. Mikołaja i z klasztoru franciszkanów. Potem dołączają dzwony z kaplicy dominikańskiej i wreszcie z nowo budowanego kościoła karmelitów.

Całe Wilno żegna dobrą królową, która tylko o dzień wyprzedziła

wspominaną od wieków śmierć na Golgocie. Do samego wieczora miasto tak huczy i jęczy z żalu. O północy dzwony zamilkną i zastąpi je stukot drewnianych kołatek, jeszcze smutniejszy i właściwszy żałobie.

Turnfalken szykuje się do drogi. Wreszcie jest już pewny, że ma z czym lecieć na cesarski dwór, więc prostuje wielkie skrzydła i kieruje się na południowy zachód.

Do Wiednia.

Copyright © 2016, **Janina Lesiak**

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych – również częściowe – tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw.

ISBN: 978-83-7779-375-6

Projekt okładki: **Elżbieta Chojna**

Korekta: **Malwina Harasymowicz**

Skład: **Jacek Antoniuk**

www.wydawnictwomg.pl

kontakt@wydawnictwomg.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

The logo for Woblink features the word "woblink" in a bold, lowercase, sans-serif font. Above the letters 'o', 'b', 'l', and 'i' are four colored dots: cyan, purple, pink, and orange respectively.

www.woblink.com